

TYGODNIK ILLUSTROWANY



PORANEK
Z Salonu T. Z. S. P.

STANISŁAW SAWICZEWSKI

JÓZEF WEYSSENHOFF:

ROZMOWY LITERACKIE

ODPOCZYNEK.

I.

Przez parę tygodni czytałem pilnie dzieła Wyspiańskiego, pobudzając się do bezstronnego ich rozważenia; brałem nawet cudze klucze, aby przeniknąć do ponurych seszów krakowskiego poety. A szczególnie szukałem właściwego nastroju, aby go odczuć, aby nareszcie, choć przez chwilę, być pod jego władzą i urokiem...

A było lato—i nawet przez organiczne zaduchy rozgrzanego miasta wiały tu i ówdzie zapachy lipowe. Księżyc, blednący w świecie, rozlewał czasem świeżość po uciszonych ulicach; przez górne szlaki, depcąc bosą stopą skorupiaste dachy miasta, szła Demetra, w pełni swego nowego lata, i mieniła się od koralu wschodu, przez natężony szafir, aż do srebrnych zalotów nocy.

Do licha poezja przyrody letniej, która tylko drażni, przypominając, że w lecie trzeba być na wsi. Siedząc jednak w mieście, żyje się mózgiem, a dziedzina intelektualna ma także swe zaduchy i zapachy, swe zniechęcone wejrzenia w marność życia i błogosławione powroty do młodości duszy.

Miałem z sobą kilkadziesiąt tomów współczesnych naszych poetów. Gdym zadługo nurzał się w chorej wizji Wyspiańskiego, brałem tom Konopnickiej.

„Młodą Polską” nazywać mamy grupę pisarzy, w której prezydował Wyspiański, a niema Konopnickiej?!

Młodość w poezji nie polega ani na wieku fizycznym pisarza, ani na jego osobistym dufaniu w swą siłę; zawiera się w dziełach, nie zaś w gestach, projektach i zapowiedziach. Młodość jest dozą wiecznego zdrowia, tkwiącą w dziele. Goethe nie był nigdy stary. Maeterlinck nie był nigdy młody.

Ale młodą sztuką nazywamy często i taką, która najlepiej odpowiada usposobieniu, poszukiwaniom ludzi ostatniej chwili. Zastanówmy się dobrze, czy w Konopnickiej niema i tej młodości w ściślejszym znaczeniu—*im engeren Sinne*—lepiej tu przypada lokucya niemiecka.

Wyznam, że za lat moich młodzieńczych karmiłem się przeważnie dawną poezją. Czytałem poetów współczesnych z niedowierzaniem: Asnyk wydawał mi się zimnym, a Konopnicka—przebac mi, Apolinie!—tendycyjną. Aliści z biegiem czasu, przysłuchując się ciągle tej lutni nie milknącej, spostrzegłem, że tendycyjność jakoś z owych pieśni ulotniła się, a same pieśni ciągle—i dzisiaj właśnie—są młode.

Pierwsza chyba z poetów naszych Konopnicka okiem dobrej wróżki wpatrzyła się w chłopca polskiego aż do dna jego duszy i zauważyła odrazu to, czego artysta nie przeczoza nigdy—prawdę. Nie podniosła hymnu do zbiorowego geniuszu gminu, którego objawy dotąd są problematyczne, lecz wzięła

do serca prostotę i poezję natury chłopskiej; zrozumiała to niemowlę obywatela i ruń narodowej przyszłości; do trosk chłopca przychyliła się, zapłakała nad twardą dolą, wyśpiewała drobne szczęście. A wszystko to na jej lutni zamieniło się w pieśń ogromną, bo z życia brała tylko prawdę i piękno, bo lutnia była jakiejś nieziemskiej fabryki.

...A na wojnie świszczą kule,
Lud się wali, jako snopy,
A najdzielniej biją króle,
A najgęściej giną chłopcy...

Czy to socjalistyczne wiersze?— —Może być.—

Jaka to piękna teoria, skoro natchnąć zdolna takie arcydzieła!— —Albo może to sekret Konopnickiej, że z życia dobędzie zawsze to, co godne czci i kochania, zbudzi miłość, zapał—błyskawicą rozszerzy widnokrąg—uśpi nienawiść i złe siły człowiecze.

A gdy skołał w czarnej chacie
Jasienko miły,
Poszła matka prosić dzwonów,
By mu dzwoniły.

Mój synaczek, mój rodzony
W trumience leży—
O, zagrajcież wy mu, dzwony,
Z tej białej wieży!

Ale dzwony twarde serca,
Zimną pierś miały.
„Będziem jemu dzwonić, matko,
Za talar biały”.

Znowu te czary.— —Nie jestem przecie maryawitą, a czuję w sobie kacerskie dreszcze...

Ale bo też i dzwony!

Im piękniejszy wiersz, tem trudniej go omawiać prozą, tem trudniej powstrzymać się od powtarzania mistrzowskich, ostatecznych dźwięków oryginału. Obok studyów, szkiców i t. p. potraw, przyrządzanych z pieśni wielkich poetów dla cięższej trawiącej poezji publiczności, wartoby może spróbować posłuchów—tego, co Francuzi nazywają *une audition*. Program mógłby być ułożony przez dobrego literata-reżysera, lub przez samego autora; tekst wypowiedziany przez wybornych śpiewaków słowa, może przy dyskre-

nym akompaniamentem muzyki, z dodanym przez tegoż reżysera zwięzłym argumentem poprzedzającym, lub przeplatającym snopy dobranych wierszy...?

Ale tymczasem postarajmy się nie mylić zbyt grubo we wskazywaniu czytelnikom genialnych nowości i nie prześlępiajmy pereł.

Próżnoby szukać dla Maryi Konopnickiej jakiej przegrody polskiego Parnasu, w którejby jej twórczość zmieściła się; nie warto też wysilać się na tytuły w rodzaju śpiewaczki wsi polskiej, albo poetki idei, albo jeszcze innej.

Gdzie wejdzie—panuje. A chodziła już po wielu krajach myśli, jak po wielu stronach łądu. Proszę wysłać jakiego śpiewaka, specjalistę od wsi naszej, do Włoch, postawić go przed szeregiem arcydzieł plastycznych—i czekać, co z tego wyniknie.— —A Konopnicka, nie przestając być sobą, nie dając rdzewieć ani jednej strunie swej lutni, otwiera nowe upusty potędze swego talentu, daje nam wspaniałą płon zagraniczny p. t. „Italia”, jeszcze nie dożęty, skoro w roku bieżącym ukazało się dzieło, zrodzone z tego porządku myślenia: „W Kartuzyi”.

Powróć jeszcze do tego cudownego wiersza.

Tymczasem na cyklu „Italia” pragnę wykazać trochę mych spostrzeżeń o wysokim—trzeba rzec, najwyższym—gatunku talentu tej Pani, której żadna kobieta w poezji nie doścignęła.

Słyszałem pochwały zagranicznych (nie chcę powiedzieć: egzotycznych) poezji Konopnickiej z naciskiem na to, że w weneckich, we florenckich wierszach dzwonią echa pieśni, granych „na fujarce”, wyraźne spominki polskiej nędzy i bólów. Słyszałem i krytyki maleńkich profesorów estetyki, że Konopnicka myli się czasem w biografii włoskich malarzy, lub chwali to, czego ci profesorowie chwalić nie zalecają... Te pochwały i krytyki wydają mi się równie drobnymi. Bo nie cisnące się czasem reminiscencye polskie stanowią wartość tych strof słonecznych. Zaś także nie historię sztuki wykłada nam śpiewaczka (która zresztą wiele i po męsku umie o świecie starożytnym i renesansowym), lecz przekazuje nam swój zapał, swe wizye ducha Italii, częstokroć piękniejsze, niż dzieła plastyczne, które ten zapał samotwórczy obudziły.

„Sąd” Konopnickiej śmiało nazwać można lepszym, niż „Sąd ostateczny” Michała-Anioła, chociaż nasz poeta tłumaczy tu myśli wielkiego Florentczyka na polskie wiersze. Nie mówiąc już o tem, że kolor fresku zwięszają zastępuje poeta przez melodyę, dobytą z leitmotywu *Dies irae*, rozegraną na całą orkiestrę słów dętych i słów drżących i zespolów gromowych. Ale kompozycję oczyszcza Konopnicka ze zbytecznych w tym przedmiocie popisów anatomicznych, ze złośliwych przytyków osobistych, których Michał-Anioł nauczył się od swego naddziada, Dantego.

W poemacie polskim wieje dużo harmonijnej wicher ostateczny. I Chrystus, według wzoru Jowiszowy, groźniej jest wpro-





DO ŚLUBU

wadzony, potężniej oparty na szczycie tej wijącej się piramidy ciała:

Spojrzał—zagasty globy...
 Stąpił—jęki żałoby...
 Truchleją aniołowie,
 Słów niema w Jego mowie,
 Grom wali to, co powie...
 Gniew—piorun, pomsta—miecz...
 I podniósł obie ręce,
 I dał ich wiecznej męce,
 Z niebieskich swoich własci
 Otrząsnął ich w przepaści
 Wszechwzgardy ruchem:

— Precz!

Gdzie trzeba greckiego spokoju, lubowania się w ponętach i elegancyach ciała, potrafi nasz poeta dorównać starożytnym mistrzom. Najwymowniejszy tego przykład w cyklu „Faun”, zwłaszcza gdy „Faun tańczy”. Przejawszy się znowu intencją twórcy kapitolńskiego posągu, poeta posuwa tu—takim przypadkiem rzadkim, jak rzadko to się zdarza starożytnym rzeźbiarzom—zmysłowość aż do lubieżności. Ale nie zmyli się mistrz taki w wyrazie, nie uchybi greckiej elegancyi!

Na niskie czoło opadł włos,
 Na wargach uśmiech leży,
 Pręży się bioder napięty łuk,
 Z którego Eros mierzy.

Zanim pogoni Nimfę w gaj,
 Już w ogniach ku niej błyska,
 Już czuje nagą, białą jej pierś
 I miękkość wrzosowiska.

Konopnicka w „Italii” chwytła ciągle cudze pomysły twórcze, wprawdzie z innych dziedzin sztuki: z malarstwa, z rzeźby, z architektury. Czasem obrysuje słowem swem lot-

nem, a tak posłusznem, linie posągu lub gmachu, ale przedewszystkiem chwytą zamiary ideowe mistrzów i przerabia je po swojemu. Czyni to nie tylko bez wszelkiej pedanteryi, bez cienia zmysłu konkurencyjnego ani krytyki, staje się, owszem, wobec cudzego dzieła, które ją zachwycało, niemal pokornym widzem. Jest też nabożnym pielgrzymem wobec przyrody Italii. Ale rzadko kiedy sztuka ta i przyroda oglądały takiego widza! Ten widz kradnie poprostu ogień z włoskiego nieba, łowi dech natchnienia z piersi twórców, porywa wszystkie wizye wielkie, błakające się po kraju piękna wybranym.

Więc czasem przed willą Cyncerona (wszystko jedno, że bezpodstawnie jego nazwiskiem ochrzczone!) powstanie wizya sesyi rzymskiego senatu, potępiającego Katylinę—widzenie żywe, urodzone z padnięcia na struny lutni jednego tylko dźwięku: Cicero... To znowu willa Wołkońskich wywoła postać duchową Mickiewicza pośród najbardziej nasyconego wiecznością krajobrazu Rzymu, gdzie

Lateraneński Jana dzwon
 Na Ave bije...

Albo porzuci zgoła poeta plastyczne wrażenie, które ma przed oczyma, zapędzi się w rojenia, do których nie widział nic podobnego, a jednak zdobywa sobie odrazu ton i obraz potężny, artystycznie prawdopodobny, rzucający nową łunę na przedmiot główny poematu. Z powodu że „Faun pijany” pochodzi z Herkulanum, takie widzenie historycznego wybuchu Wezuwiusza:

Strzeż się! Grzmi Zeus!... Już boki wulkanu
 Piorunem porze...

WŁADYSŁAW SZERNER

Już odegrzmiaty, u nóg leżąc panu,
 Ziemia i morze.

Już z żył praświata krew ognia wytryska,
 War bucha siny...
 Chybło się morze i leci z łożyska
 Na port Retiny!

Już śmierć poszczuła, co było żyjące,
 Przemściwą ręką...
 Już psy podziemne zawyły na słońce
 Czarną paszczką!

Już pędzą z hukiem Hadesu trzy rzeki
 Na sień Arysta—
 Już gród Herkula zalewa na wieki
 Powódź ognista!

Ten wspaniały przyśpiew nie wyprowadza na chwilę czytelnika z wrażenia głównego, celowego. Azeby pokazać, że Faun pijany przetrwał i gniew, i samo istnienie bogów, że im urąga do dzisiejszego dnia wzniesionym małym palcem—trzeba było stworzyć w obrazie, nie tylko nazwać potęgę gniewu bożego. Poeta rysuje posąg, wymienia nawet atrium Arystyda, gdzie stał przed wiekami; potem myśli z Faunem, raczej z jego twórcą; potem przerzuca się do eposu, do peanu o grozie poruszonych przez Zeusa żywiołów—i znowu, przeskakując wieki, ukazuje nam dzisiejszego Fauna z nieodmiennie wzniesionym palcem maleńkim...

A więc dzieło młodej, wiecznej sztuki mocniejsze, niż gniew bogów?...

To są harmonie, to są podboje w dziedzinie wrażeniowej, to są loty wyobraźni twórcze, syntetyczne. Wielki poeta z każdego drobiazgu, który dotknie swem miłościwem upodobaniem, krzesze iskry, zapalające pożary wrażeń, snopy myśli strzelistych.



Portret T. N. Lichockiego. Rys. M. Stachowicz.

PLANY BITW KOŚCIUSZKOWSKICH, ²⁾

WYKONANE PRZEZ M. STACHOWICZA.

Jeszcze jeden szczegół, tyżący się pamiętnika. Na końcu jego, na okładce, jest dolepiony szkicowy, dyletancki rysunek, przedstawiający oficera polskiego, leżącego jakby śpiącego, na armacie. Czarną plamę na prawym boku tłomaczy podpis: „Dnia 17 kwietnia 1794 r. w Warszawie w nocy raniony Karol Lichocki”. U dołu rysunku, otoczonego klamrą, wisi potrójny łańcuszek, zakończony medalem. Drugi napis u góry objaśnia, że jest to podobizna votum srebrnego, zawieszzonego w kościele mogilnickim (Mogiła pod Krakowem, słynny klasztor Cystersów). Ten Karol Lichocki, kapitan artylerji, był rodzonym bratem naszego pamiętnikarza.

Porównawszy oryginał pamiętnika z jego tekstem drukowanym, znalazłem bardzo małe różnice, wynikłe z nieporządnego przepisywania. Różnice te polegają głównie na opuszczeniu lub na błędnym odczytaniu jakiegoś wyrazu. Ale takich miejsc jest niewiele, i tylko w jednym zdaniu sens jest popsuty. Przy nowym wydaniu pamiętnika (a było wszak ich już kilka) należałoby i te błędy usunąć.

Nasuwa się pytanie: gdzie się podziła reszta pamiętnika? I w oryginale, i w druku kończy się on opowiadaniem, jak „pan rotmistrz cerulik Zawacki” chciał wykręcić p. prezydenta od musztry, radząc mu, aby dał za siebie zastępcę. Opis urywa się na wyrazach: „...nowym kłopotem zacząłem paść myśli swoje, skądby”... Domysł łatwy: na tem przecież Li-

chocki nie skończył swego pamiętnika. A jednak kto wie, czy go dalej prowadził. Oryginał bowiem jest już ręką Lichockiego pisany „na czysto”, a znajduje się przy nim jeden półarkusz brulionu. Czytamy w nim: „A nowym kłopotem zacząłem paść myśli swoje z kądby Człowieka dostać, któryby chciał za mnie zginąć, mając w sąsiedztwie szaloną kamienicę (dom waryatów), iuż Mnie chęć brała zwerbować ztamtąd iakowego Szalencza, ale gdy mnie widział zaturbowanego y zamyślnego Parobek moy własny Kamieczny Walanty, wyrzekł do Mnie czego się Pan gryzie choć oni tak krzyczą, to ci Rycerze iak Moskali zobaczą pouciekaia”.

Ale na tem kończy się i tekst brulionu—druga kartka półarkusza jest już nie zapisana. Stąd przypuszczenie, że Lichocki nie kontynuował swej „żałosnej” narracji. A da się to

świętobliwie, pilnie, troskliwie y przezornie wszystkie rozkazy”. Ale w trakcie pisania pamiętnika gwiazda p. Filipa zabłysnęła na nowo. D. 6 grudnia 1795 r. zawiadomiono urzędownie magistrat krakowski, że Kraków przechodzi pod panowanie Austrii. Prusacy go opuścili 4 stycznia 1796 r., a zaraz nazajutrz wkroczyły czarno-żółte sztandary od strony Podgórza. Pan Lichocki, przywrócony już przez Prusaków do dawnej godności, ogłosił patent cesarski z ganku ratuszowego i przy odgłosie trąb i kotłów umieścił na ratuszu czarnego dwugłowego orła; jednocześnie polecił go zawiesić na bramach miejskich i gmachach gminnych. Czy mu „wypadało” w tych okolicznościach kończyć pamiętnik, czy lojalność dla nowych panów pozwoliła mu dalej przyznawać się do lojalności względem władz insurekcyjnych? Na dnie jego duszy, jak i u niejednego Targowi-



PLAN BITWY POD MACIEJOWICAMI

Rys. M. Stachowicz

łatwo wytłomaczyć. Pan prezydent był nawskroś lojalny: obrany prezydentem za Targowicy, służył jej wiernie, drżał potem, aby nie był „przewieszony” za uległość komendantowi załogi rosyjskiej. Choć gniewała go insurekcja, wszędzie stara się udowodnić swą uległość rządowi powstańczemu; zaręcza, że „dopełniał

czanina, leżało zapewne przywiązanie do ojczyzny, ale charakter jego nakazywał mu korzyć się przed każdą siłą. Z drugiej strony rozumiał może, że po zupełnym upadku niepodległości, po tym sukcesie „patryotyzmu” Targowiczana, nie można było wydać w tym tonie pisanego pamiętnika, nie można było drwić z ostatniej zbrojnej walki narodowej. Dla tych przyczyn mógł odłożyć pióro.

Najwięcej interesującą część rękopisu dzikowskiego stanowią plany Stachowicza, na których reprodukcję łaskawie mi zezwolił hr. Zdzisław Tarnowski. Planów tych jest sześć. Rysowane są piórką, a następnie zlekka pokolorowane. Mimo szkicowego traktowania, artysta starał się o jak największą dokładność; nie poprzestawał też na samym rysunku, ale wszędzie dopisywał na nim objaśnienia. Nie ulega wątpliwości, że, jak już zaznaczyłem, zbierał informacje od oficerów kościuszkowskich, i to za świeża, jak o tem świadczą daty, na niektórych planach położone.

Pierwszy rysunek to „Planta Batalji y Zwycięstwa Polaków otrzymanego nad moskalami R. P. 1794 dnia 4 Kwietnia”. Nie tu wchodzić w szczegóły planu, w jego krytykę; zaznaczyć jednak należy, że jest on wogóle dość zgodny z tem, co wiemy o bitwie racławickiej. Kto chce szukać niedokładności, niech porówna go z planem Korzona. Jako szczegół ciekawy, podnieść należy, że u dołu planu umieścił artysta dwu jeźdźców, z których pierw-



PRUSACY ZAJMUJĄ KRAKÓW

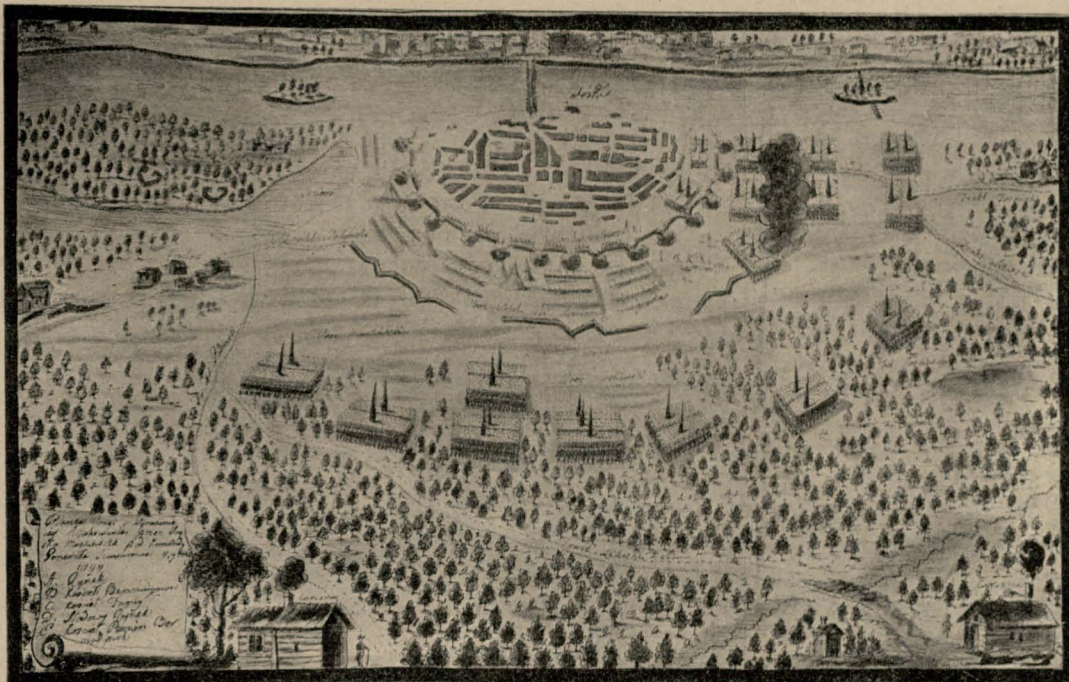
Rys. M. Stachowicz

szego zaznaczył, jako Kościuszkę. Mamy tu stwierdzenie tego, co widzimy na obrazie Casanowy, a mianowicie, że Naczelnik był pod Raclawicami w ubiorze cywilnym, w zwykłym kapeluszu filcowym. Obraz zaś Casanowy miał być własnością Kościuszki i prawdopodobnie przez niego samego, jak się domyśla Korzon, był szkicowany (posiada go dziś Muzeum raperswilskie).

Drugi rysunek przedstawia „Wyrażenie Batalii pod Szczekocinami”.

Trzeci, to „Plan Warszawy y Wyrażenie Atakowania iey przez króla pruskiego y Moskwę oraz od Parcie tychże D. [8 Września R. P. 1794”. Plan to wcale dokładny, dający dobre wyobrażenie rozkładu wojsk walczących. W ogólnym zarysie zupełnie się z nim zgadza plan Treskova, wydany dopiero w r. 1839 (Feldzug der Preussen).

Na czwartym planie „Wyrażenie Batalii Polaków z Moskwą pod Maciejowicami” znajduje się podpis: „Michael Stachowicz pixit (tak) 18 marca 1795”. Plan to jeden z najślabszych; z pogromu maciejowickiego mało kto uszedł z takich, coby mogli Stachowiczowi udzielić



PLAN OBRONY PRAGI

Rys. M. Stachowicz

dobrych informacji. A wprost zabawnie wygląda zaznaczenie obozu rosyjskiego „złączonego z Generałem Suwarowem”, bo Suworow był daleko, a właśnie dlatego, aby Fersen z nim się nie połączył, zdecydował się Kościuszkę na maciejowicką rozprawę.

Bardzo interesujące jest „Wyrażenie Batalii oraz odebrania Miasta Krakowa Przez Króla Pruskiego”. Tu Stachowicz był panem przedmiotu. Z natury naszkicował ówczesny widok Krakowa z górą św. Bronisławy, na której z czasem miała stanąć mogiła Kościuszki.

Zaznacza, którzy Prusacy maszerowali „bez żadnej utarczki dobrowolnej”, gdzie „municipalność dawała odpór” (parogodzinna obrona zamku przez garstkę mieszczan); widzimy, którzy rejeruje „za Wisłą w kordon municipalność i wojsko”, i którzy „milicya unosi swoją chorągiew y dwie armaty wpływ przez Wisłę”. Plan ten wykonał Stachowicz „30 Martii 1795 Cracoviae”.

Ostatni wreszcie rysunek, to „Planta Pragi y Wyrażenie iey Atakowania przez Wojska Moskiewskie pod komendą Generała Szuwarowa 4 qbris 1794”.

Nie mam pod ręką żadnego planu Pragi z tych czasów, więc nie mogę stwierdzić, o ile Stachowicz rzecz dobrze przedstawił. Z dawnej Pragi zresztą dziś zostały zaledwie ślady, czego nie zniszczył Suworow, to zniesiono za czasów pruskich (np. kościół Bernardynów). Na planie Stachowicza widzimy Rynek, kościół Bernardynów, kościół Farny, Słodowy Rynek, kościół pp. Bernardynek, prócz tego zaznaczone są trakty: Podlaski, Wołyński, Litewski, Toruński...

KAZIMIERZ BARTOSZEWICZ.

☞

ANTONI LANGE:

C I E Ń.

Choć bywam sam—w dzień biały czy w noc ciemną—

Ktoś zawsze przy mnie jest i ze mną.

Nie wiem—kto—

Ktoś mi znany i nieznany,

Niewidzialny, okryty mgłą—

Bezcielesny, widmowy sen...

Czy to duch, co porzucił niebiany

I czuwa nad każdym mym krokiem?

Czy wspomnieniem duch jest ten,

Takiem wspomnieniem głębokiem,

Którego nie znam na jawie—

Lecz które trwa nade mną—jak życia zamglawie?

Albo eter mej własnej istoty,

Co przedarł osłony cielesne

I w pozory nieokreślne

Przydział swoje loty—

I patrzy na mnie swem bezdennem okiem?

Nie widzę go, lecz słyszę to spojrzenie,

Nie słyszę go, lecz widzę jego szepty ciche...

Wonna mi pieśnią szemrze jego tchnienie.

Czy to twór mej fantazyi—czy to jaka Psyche,

Co zesłała ku mnie, jak przecuciowe zjawienie—

Jakieś innej planety, skąd jestem wygnany

Na tę ziemię, po której błędę coraz bladejszy...

Ktoś mi znany a nieznany

Stąpa koło mnie, siedzi przy mnie, na mnie patrzy,

Niezrozumiałą mową coś mi szepcze z cicha,

A tak dziwnie i słodko, jakgdyby ta mowa

Nie była mi nieznaną, niepojętą, nową,

Bo nią to właśnie (czuję) istność ma oddycha.

A czasem sędzę, że ta postać tajemnicza,

Której nie widzę oblicza,

Lecz której czuję spojrzenie—

To kobieta, com ją raz—na jedno mgnienie

Gdzieś—kiedyś—widział. Gdzie—kiedy—nie pomnę—

Ale wiem, że dziś światy dzielą nas ogromnie,

Bo mi wnet znikła, jak senne widzenie,

I nigdy już jej nie zobaczę—

A gdzie—kiedy—nie oznaczę—

Lecz we mnie jest jej postać i spojrzenie,

Choć nigdy już nie spotkam tej kobiety—

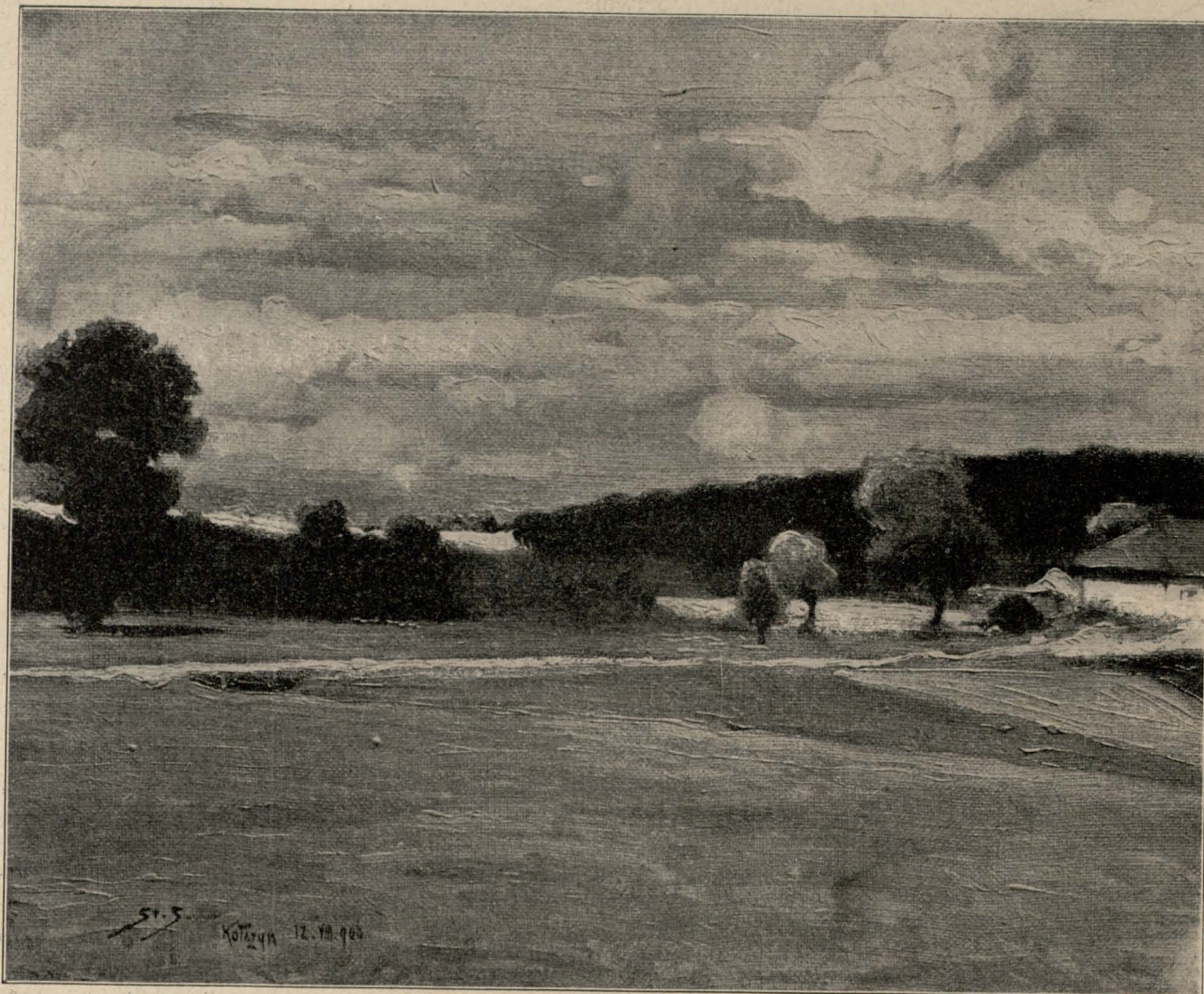
Może i ona z innej jest planety

I w swoje światy odeszła wygnana—

A przy mnie pozostała znana i nieznaną,

Jako bezcielesna wiona drzeń,

Jako niewidzialny cień...



MOTYW Z PODLASIA (Z Salonu T. Z. S. P.)

STANISŁAW SAWICZEWSKI

STANISŁAW SAWICZEWSKI.

W mniejszym salonie Pałacu Sztuki rozwieszono dzieła malarskie Stanisława Sawiczewskiego. Jest to pierwsza zbiorowa wystawa artysty, którego dobrze znamy oddawna, zwłaszcza jako wziętego ilustratora. Istotnie, od roku 1896, to jest odkąd mieszka w Warszawie, należy do rzędu nielicznych w naszym mieście rysowników, którzy pracami swymi zasilają pisma i książki obrazkowe.

W ogóle w dziedzinie naszego malarstwa współczesnego zajmuje on stanowisko dość odrębne. Jest on również jednym z nielicznych dziś malarzy, którzy nie wstydzą się rysunku. Modne prądy ostatniej doby, dobry, poprawny rysunek, oraz, jak nazwał Ingres, „uczciwość malarstwa” zepchnęły na plan ostatni; Sawiczewski zaś, stale wierny dawnym tradycjom artystycznym, w pracach swoich przedewszystkiem dba zawsze o poprawne i jak najdokładniejsze narysowanie kształtów widzianych, stara się być wobec natury szczery i lojalny. Ta właśnie wygórowana uczciwość malarska jest może najbardziej znamiennej cechą całej twórczości naszego artysty, co też znaczy się wyraźnie i niewątpliwie na dziełach, obecnie wystawionych.

Rzeczywiście, gdy przeglądamy zebrane obecnie w Zachęcie prace Sawiczewskiego—portrety, krajobrazy, studia kwiatów i kompozycje rodzajowe, aż do najdrobniejszych szkiców i notatek doraźnych, wszędzie uderza nas owa staranność o szczere ujęcie widzianego zjawiska, owa sumiennosc w wyborze środków wyrazu artystycznego. Niema tu tych zrzęczy, a tanich kleksów, niema tych łatwych

uogólnień, któremi całe rzesze współczesnych malarzy, pod pozorem tendencji stylistycznych, pokrywają brak umiejętności zawodowych, brak studyów należytych, prowadzących do opanowania przedmiotu, a często prosto brak zupełny jakiegokolwiek talentu. Widywaliśmy w ostatnich czasach pejzażystów, którym jakaś jedna recepta na kilka „ciekawych” tonów, zresztą bez żadnych innych tytułów do mistrzostwa, wystarczała, że tytuły mistrzów zdobywali. Sawiczewski, jak chce Ruskin, idzie pokornie za naturą, szukając możolnie w zasobach swych władz artystycznych

form najdoskonalszych na wyrażenie jej kształtów i barwy.

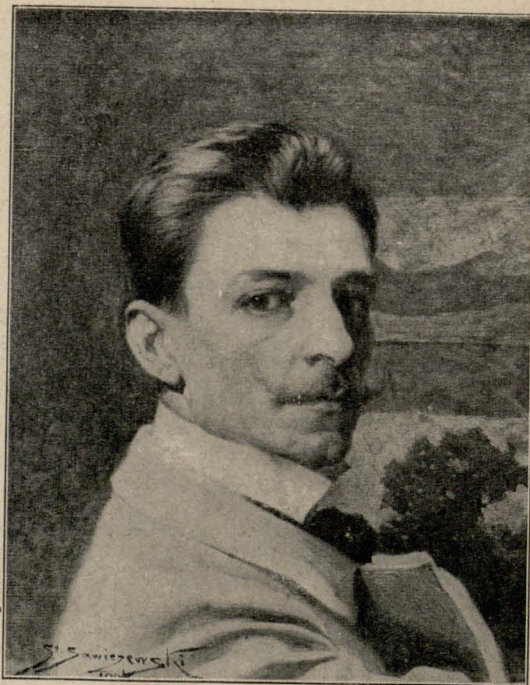
Zapewne, może wobec dążeń podobnych czuć w pracach jego ślady tego wysiłku, czuć ślady zmagania się z przerastającą moce ludzkie potęgą zjawisk fizycznych świata, ale artysta wobec potęg tych nie upada na duchu, nie rozpacza, ręk nie opuszcza, ale daje z siebie szczerze to, co ma i co może najlepszego.

Niewątpliwie też niektóre obrazy Sawiczewskiego sprawiają wrażenie jakby sztywności i przymusu, skoro jednak artysta przełamał już trudności plastycznego wyrażenia swych wrażeń wzrokowych, wtedy zdobywa się na dzieła naprawdę skończone i dociągnięte artystycznie pod każdym względem. Taki jest na przykład portret p. R. W., portret doskonały, pociągający prawdą i naturalnością. Wiele prawdy posiadają też jego studia pejzażowe, jak na przykład bezpretensjonalna, a jednak pełna uroku „Jabłoń”, „Zagroda” i wiele innych.

Z mnóstwa ilustracji swoich wystawił artysta tylko kilka rysunków do powieści Sienkiewicza: „Na polu chwały” i bardzo dobrą scenę rodzajową „Niedziela na Litwie”, a szkoda, bo dział ten w twórczości jego jest bardzo obfity.

Stanisław Floryan Sawiczewski, syn Władysława i Maryi z Grottgerów, urodził się w Krakowie w roku 1866. Pochodzi on z rodziny, w której od kilku pokoleń kwitną tradycje naukowe i artystyczne. Ojciec, stryj i dziad zajmowali wybitne stanowiska w uniwersytecie jagiellońskim, przez matkę, rodzoną siostrę wielkiego naszego poety-rysownika, Artura Grottgera, odziedziczył jego zamiłowanie tej sztuki.

T. J.



AUTOPORTRET

ST. SAWICZEWSKI

WŁ. ST. REYMONT:

Z ZIEMI CHEŁMSKIEJ

WRAŻENIA I NOTATKI.

II.

Deszcz jednak ustał, i wkrótce po południu wyjrzało blade, anemiczne słońce, a nisko pochylone zboża i trawy rozblęsnęły siwymi rosami. Droga była szeroka, polska, miejscami piach, miejscami błoto po osie, a miejscami wyboje i kałuże na pół chłopca.

Kraj płaski, równy, jak stół, przestronny; oczy lecą, niby ptaki, w cały ogromny świat, lecą daleko i radośnie, aż na przemglone, niebieskawe krańce nieba. Zboża zielonym morzem pokryły ziemię, jak okiem dosięgnąć, wiatr pieszczotliwie przegarnia płowe, cicho szumiące zagony, a nad nimi tu i owdzie bielą się ściany domów, śpiewają skowronki, kołyszą się samotne drzewa, i błyskają kopuły cerkiewek.

Wsie rzadkie, pokryte w gęstwach sadów, znaczą się tylko słupami dymów.

Gdzieniedzie wśród łąk, porozrzucanych, niby barwne kilimy, wśród łożyn i czarnych olch, srebrzą się kręte wstęgi rzeczulek, patrzą siwe oczy stawów, czajki zawodzą jęklawie, i spacerują bociany.

A nad drogami dumają stare, pochylone sosny z obrazkami, to wierzyby rosochate przysiadły, niby kumy, to krzyże wyciągają białe ramiona, lub stoi dąb prawieczny, podarty piorunami.

Po wzgórkach piaszczystych i nagich leżą cmentarze, zasadzone gąszczem olbrzymich krzyżów, pochylonych na wszystkie strony, jakby w niemem wołaniu ku wioskom i domom.

Bardzo rzadko spotykamy wozy, a jeszcze rzadziej przechodzi drogą jakiś człowiek, przygląda się badawczo i wymija mnie bez słowa. Przejeżdżam wielkie, doskonale zabudowane i prawie puste wsie, bo nawet dzieci uciekają strachliwie w pola, a tylko z poza węgłów i drzew śledzą za mną jakieś nieufne spojrzenia, i psy zajadle naszczekują.



Typy ludowe z Chełmszczyzny.

Milcząco i dziwnie sennie poruszają się ludzie po zagonach. Nigdzie nie zrywają się wesołe pokrzyki, nie wrzeszczą dzieci, nie rozlega śmiech, i nie rozdzwania piosenka.

Tylko melancholia i łzawy smutek płynie z tych pól niezmiernych. A na każdym kroku stoją święte figury, kapliczki, gdzie Marye w niebieskich szatach i złotych koronach wyciągają miłosierne ręce, Jany Nepomuceny, Chrystusy w cierniowych koronach, i nowe, białe pomalowane krzyże, przystrojone w powiędłe wieńce, kwiaty i różnokolorowe wstęgi.

— Dużo nowych krzyżów!—odzywam się do woźnicy, który przed każdym żegnaniem się pobożnie i czapkę zdejmuję.

— A sporo, bo, jak tylko nastąpiło „Polactwo”, to pracowali nad nimi dniami i nocami, żeby nastawiać jak najwięcej.

— I tak ładnie przystrojone.

— Bo ubrali je na ten dzień, kiedy to po wszystkich kościołach odprawiało się nabożeństwo na intencję nieodłączania Chełmszczyzny.

— Byliście na tem nabożeństwie?

— Jakże, przecież cała wieś poszła, nawet i prawosławni nie zostali w domu.

— Widzę, żeście i wy katolik.

— Ja prawosławny!—odpowiedział.

— A chodźcie do kościoła?

— Moi rodzice i starszy brat już Polaki, a ja nie jestem jeszcze pełnoletni.

Przerwał nagle i tylko już odpowiadał, ale bardzo niechętnie i wymijająco, zaczął mi niedowierzać, bo często łapałem jego nieufne spojrzenia.

— Pan pewnie z Chełma?—rzucił lekceważąco przez ramię.

— Nie, z Warszawy! — zdziwił mnie gniewny akcent jego głosu.

Uśmiechnął się tak wątpięco, że dałem spokój przekonywaniom, ale niedługo wytrzymał, kręcił się na siedzeniu, zaciął konie, przyglądał mi się z pod oka i, gdyśmy już dojeżdżali do jednego z moich etapów, zagadnął znowu tym samym gniewnym i wzgardliwym tonem:

— A gdzie zajechać?

— Do wójta.

— Czy do tego nie zatwierdzonego?

— Do niego właśnie jadę.

Twarz mu się rozjaśniła, spojrzął na mnie życzliwiej i zaczął się tłumaczyć:

— Bo tyle teraz kręci się po wsiach różnych ludzi, co to i po polsku mówią, i przed kościołami się żegnają, i polską wiarę chwala, a potem to namawiają do podpisów za odłączeniem. U nas we wsi był taki jeden, jeszcze na jesieni. Do dyaka przyjechał w goście, a po wsi całe dni spacerował, do chałup zaglądał, każdego zagadywał, każdemu bakę świecił i niby to pod sekretem rozpowiadał, że mają dworskie ziemie podzielić między chłopów. Nasi nie bardzo wierzyli, bo jakże to można za darmo co dostać, ale zaklinał się na wszystkie świętości. A po nim w parę dni zjechali jacyś panowie z urzędu, przykazali sołtysowi ludzi zwołać i to samo powiedzieli. Jakiś pewnie starszy od całej wsi napisał prośbę i kazał się pod nią wszystkim podpisywać, a stra-

zył, że, który się nie podpisze, to gruntu nie dostanie.

— I dużo się podpisało?

— Ziemia łakoma rzecz, a żaden nie ma jej za wiele, to i sporo się podpisało, nawet i z pomiędzy katolików. Dopiero potem, kiedy się pokazało, że prośba była nie o ziemię, ale za odłączeniem od Polski, niejeden gorzko zapłakał i łbem bił o ścianę. Niektórzy nawet pojechali odbierać tę prośbę, ale... wydrą tam z gardła wilkowi. Jeszcze się z nich wyśmieli, a dyak jak sobie podpisał, to po całej wsi krzyczał, jako nareszcie będzie już koniec Polactwu, że wnet wygonią panów i księży, a który chłop nie zostanie prawosławnym, to pójdzie z torbami. Ale psie głosy nie idą pod niebiosa. Prawda, panie?

Słońce zachodziło, gdyśmy wjeżdżali do wsi, obok cerkwi, przerobionej z kościoła i stojącej na wzgórku w wieńcu olbrzymich lip i klonów.

Zajechaliśmy pod duży biały dom, stojący nieco w głębi; przed gankiem wynosiła się potężna grusza, obwisła od owocu, a z boków rozciągał się wielki sad.

Wójta poznałem kiedyś w Warszawie, jeszcze w dniach wolnościowych, więc przywitał mnie bardzo serdecznie i po krótkim wypoczynku zaprosił do obejrzenia gospodarstwa. Zamożność i doskonałe gospodarowanie znać było na każdym kroku: żyta sięgały do strzech i czerniały, niby bór, koniczyzny były po pas, a w podwórzu, obudowanym w zamknięty czworobok, aż roiło się od gęsi, kur, kaczek i trzody chlewnej. Cztery tęgie krowy wchodziły właśnie na podwórze, pędzone przez małego chłopaka w płóciennej, białej katance.

— Mój wnuczek! Franuś, a chodźcie do nas!—Ale Franuś śmignął w inną stronę.

— Niezwyczajny obcych, to się wstydzi. A to moja córka i gospodyni!—wskazał na wysoką kobietę, idącą ze szkopkami ku oborze.—Żona umarła mi już dawno.

Zaprowadził mnie do byczka, stojącego w osobnej zagrodzie.

— Dostałem za niego nagrodę w Lubartowie na wystawie—rzekł z dumą.

Obejrzałem jeszcze jakąś dostojną ma-



Typy ludowe z Chełmszczyzny.

ciore, otoczoną licznym potomstwem, obejrzałem duży sad, prowadzony bardzo starannie i pełen owoców.

— Mój zięć się na tem rozumie, był we dworze przy ogrodniku.

Zwróciłem uwagę na stos bali, przykrytych spadzistym dachem.

— Na dom dla mojego najmłodszego, drzewo suche, jak pieprz.

— Czy służy w wojsku?

— Nie, panie, skończył szkołę naęczowską, a teraz praktykuje we dworze.

Wróciliśmy do domu dopiero na kolację.

W świetlicy było bardzo czysto i porządnie, łóżka miały przykrycia z prześlicznych kilimów, w rogach stały szafy, na ścianach polśniewały za szkłem święte obrazy, a pomiędzy nimi Kościuszko, Leon XIII i Kordecki. Zapalona lampa zwisiała od pułapu. Pod oknem na stole leżał komplet *Zorzy* i kilkanaście broszur rolniczych.

— Bo ja jestem członkiem kółka od samego założenia — pochwalił się skwapliwie. — Mam jeszcze trochę innych książek, ale schowane, bo strażnicy tak się do mnie znarowili, że nieraz to nawet nocami przychodzą w gościnę.

— I pewnie dlatego nie chcą was zatwierdzić na wójta?

— A zapowiedzieli, że, jak mnie jeszcze raz wybierze gmina, to znowu się przejadę. Byłem ja już na takim spacerze, byłem...

— Daleko?

— W orenburskiej, i ledwie człowiek przywłókł kości z tej drogi!

— Musiało wam być ciężko!

— Że i na szubienicy byłoby lżej! Ale człowiecze szczęście, co dzisiaj zapomina o wczoraj, to się jakoś wytrzymało, i po manifeście wróciłem. A jak nastąpiła tolerancja, to już się nam zdawało, że raje się otworzyły przed nami. Bo niech pan tylko dobrze w głowę weźmie i pomiarkuje, jakieśmy to żyli na unii! Człowiek był uważany gorzej, niżli ten zwierz najgorszy! Przez trzydzieści lat ani kościoła, ani księdza, ani spowiedzi, ani ślubu, ani pogrzebu. Człowiek rodził się, żył i umierał, jakby w tym kryminale, a tu naraz otworzyli drzwi na wolność. Nawet uwierzyć było ciężko, jakby się śniło!

(DCN)

ZYGMUNT RÓŻYCKI:

BIĄŁE MAKI.

Chwieją się białych maków wybujałe grzędy
I drżą cicho w poświatli słonecznego złota,
Jak rój westalek, które strawiła tęsknota
Za wcieleniem upojnej miłosnej legendy.

Chwieją się białych maków wybujałe grzędy,
Jak jasnych, nieskalanych oblubienic roje,
Które, wdziawszy na siebie najpyszniejsze
stroje,
Czekają z niepokojem na ślubne obrzędy.

Chwieją się białych maków wybujałe grzędy.

JADWIGA MARCINOWSKA:

VOX CLAMANTIS. ³⁾

Po skończonej nauce, gdy uczyniło się miejsce w pobliżu nauczyciela, wystannicy przystąpili, rzecz wykładając.

Było już po południu. Gromada rozeszła się w znacznej mierze; zostali najgorliwsi, wyczekujący pokutnie jutrzejszego poranka i chrztu w Jordanie.

Rzeka przebłyskiwała wśród gąszczów odbłaskiem srebrno-szarym.

Długa przemowa posłów miała na celu postawienie ostrego pytania: „Ktoś jest?”

Żadne imię nie przeszło im przez usta, ale Jan myśl zrozumiał. Podnosząc utrudzoną



Św. JAN NA PUSZCZY

GUSTAW DORÉ

twarz, odpowiedział: „Nie jestem Chrystusem.”

Wówczas ośmielili się i natarli: „Cóż tedy? Jesteś Eliasz?”

Zaprzeczył znów: „Nie jestem”.

Popatrzeni po sobie, ostatnia próba: „Jesteś przecie prorokiem?”

Był widocznie zmęczony godzinami mówienia, bowiem odrzekł najkrócej jednym wyrazem: „Nie”.

Zawrzało. Zrywała się ciekawość popołu z głuchym gniewem; kilkanaście rąk wyciągniętych trzęsło się na powietrzu.

Gdy się tłoczyli, powstał. Odchodził na skraj lasu.

Pobiegli za nim z okrzykiem, że wreszcie wyjawić się musi, aby odnieśli sprawę kapłanom-księżętom w Jerozolimie.

Podniesione ich głosy nabrzmiewały pogroźką; docierali zgiełkliwie: „Co powiadasz ty sam o sobie?”

Przystanął. Gęstwina kończyła się w tem miejscu kępami drobnych krzów, otwarto się przestworze lekko falistej, spieczonej w słońcu ziemi.

I dał im tę odpowiedź, od której powiało idącym w przestrzeń tchem: „Jam jest głos wołającego na puszcy: prostujcie drogę Pańską, jako mówił Izajasz prorok”.

Rozważali przez chwilę; popędy wiary mieszały się z oburzeniem; nareszcie jeden parsknął zjadliwie: „Dlaczego chrzczisz, jeżeliś ty nie Chrystus, ni Eliasz, ani prorok? Pytam: dlaczego chrzczisz?”

Oburzenie przemogło, rozlało się jakby, i otoczyli Chrzciciela obręczą wściekłych twarzy.

Zasię Jan milczał chwilę. Oblicze jego poczęło się dziwnie mroczyć: nie był to smutek ni gniew. Na ostrych rysach położyły się cienie niewysłowionej uroczystości i zadumy. Tak wyglądał głowa człowieka, przed którym się rozwarły drzwi do niezgłębionych przestrzeni.

Jan wchodził w siebie.

Tajemnica własnego powołania otoczyła go, jak niezmierny świat...

Do onej chwili zdawało mu się, że wie... Teraz poznał, iż wiedza jego, aczkolwiek na orlich skrzydłach niesiona, dotykała zaledwo powierzchni rzeczy. We własnym duchu odkrywał niewyraźne obszary; zamoczył go dech wielkości; nawet jego... Natężył się w tem poczuciu dochodzenia do ostatecznych granic. Jakże daleko na drogach tych pozostała dotychczasowa szczęśliwość obcowania z wolą Jehowy. W zawrotnym locie opada srogość, i odłamuje się wszystek ból. Nie z odległym rozkazem odtąd obcować mu dano: pewność niewysłowionej bliskości zalewa wszystkie władze. Szczęście jest tylko słabym dźwiękiem. Staje się coś jedyngo: szczyt tęsknoty ludzkiej dosięga niepomysłanej wyżyny, duch się pograża, wierzący w olśnienie białego światła, w byt niepoczęty i nieskończony, Boży.

Jan począł odpowiadać. Mówił nie tylko do owej marnej gromadki gniewnych ludzi, ale do rozświetlonych piasków pustkowie, do majaków dalekich gór, zaś się także do wszystkich, którzyby kiedykolwiek w pustyni lub za pustynią podnieśli ku niebu serce smutne:

„Ja chrzczę wodą, ale w pośrodku was stanął, którego wy nie znacie.

„Ten was chrzcic będzie Duchem Świętym i ogniem.

„Ten jest, który po mnie przyjdzie...” tutaj słowa poleciały tajemniczym promieniem we wszystko czasów i mocy: „ale który przede mną był.”

Słuchacze nie zrozumieli.

Następująca noc była właściwie ostatnią powołania Janowego.

Jako miał zwyczaj, po całodziennej nużącej pracy oddalił się od ludu. Szedł z wolna przez pustynię.

Żar słoneczny opadał. Pojawił się nawet przedwieczorny, szepczący wiatr; lekkim tcnieniem przelatował nad posępnością rozłogów. Morze Martwe leżało w oddal, jak płachta sina.

Od tego momentu wypocznienia aż po następny świt odbyły się jakieś niestychane rzeczy: skrzydlate moce zeszyły się na pustyni. Wynikła z płowych piasków mowa chwalebna, której odtąd nie postyszało już żadne ucho.

Wieczór zastał Jana nad morzem. W tem miejscu brzeg był płaski. Słońce zachodziło z przeciwnej strony za dalekością judzkich gór; obszar wodny spoczywał już w chłodnym, błękitniejącym cieniu.

Wzdęto się morze.

Spoglądał Chrzyciel daleko widzącymi oczyma.

Siność wzbudzonych, pełnych wód biegła przed nim, że nie dostrzegało się końca drogi. Natomiast z prawej strony brzeg się podnosił, tamując, a na lewo sterczały poszarpane wyniosłości Moabu.

Granica...

Zahamowane w rozpędzie, wzdęte półkłęgi przychodziły z ciężkim pluskiem do brzegu. Nigdy żadne morze w podobnym stopniu uciśnione nie było. Słyszało się wszystką mozolność wstawania gęstych fal.

Naraz poczęło się to w niezrównany sposób odmieniać, jakoby przesunęła się po powierzchni jakaś potężna dłoń, a pełna łaski. Wezbrany ciężar opadał. Nastąpiło odziedzenie porywu od męki, jak duszy od bolesnego ciała. Wywiązał się przecudowny, bo wolny śpiew.

Leciało to ku Janowi raczej, niżli płynęło pod jego stopy. Wszakże dzisiaj był czas. Nastawał moment, w którym głosowi, wołającemu tak długo, odpowiedzieć miała pełnym dźwiękiem pustynia.

A on, człowiek-głos uciszony, przemierzał ją z krańca w kraniec. Skrzydłata moc ponosiła Chrzyciela; zdawałoby się, że chciał tej nocy pośpiesznym krokiem pożegnać te wszystkie miejsca znane.

Koniki polne rozdzwoniły się wśród parowu. Było to w pewnej odległości od morza. Głęboki wieczór już opłynął rozłogi; ciemność zatarła kształt rozpadliny, jeno ze dna, porośłego ciernistymi krzakami, dobywał się ów dzwoniący chór. Grało smutnie i słodko, coraz śpiewniej i głośniej, aż do przepojenia powietrza rozręskioną muzyką.

I wtedy i w tym sposobie, zbiorową mocą nieprzeliczonych, drobniutkich brzmień, podniósł się oddech ziemi, przejawiający wolność tak samo, jak ją obwieszczał wyswobodzony z Martwego Morza śpiew.

W przepaściastą noc kłęczał prorok na niewidzialnych piaskach pustyni. Z niedoścignętego przestworza patrzyły gwiazdy, wzywając mruganiem złotych oczu. Dusza wylatywała ku nim, jak ptak.

Jan modlił się jedyną modlitwą, wstępowaniem całej istoty.

Własne słowa otworzyły mu wokół dotychczasowej dostrzegalnej cząsteczki bezmiar świata: wyrzeczone słowa: „Ten po mnie przyjdzie, ale przede mną był”... rozwały dlań w piorunującym rozblýsku ściany czasu. Zrywał się teraz w nieskończoną działalność swoich wczorajszych słów; wstępował do ogromu. Wreszcie zamieszkał w nim...

Z ciemnych okręgów nocy płynęły ku podniesionej głowie proroka szepty i szmery. Zdawało się, że tam stoją w kornym półkolu wielkie anioły, duchy pustyni. Powiewając skrzydłami, ostatni hołd oddają.

Wszystko doznane wiązywało się w jeden wyraz.

Ongiś na zielonym stoku, wśród gór, w poszumie orlim objawiło się Powołanie. Dzisiaj w tajni przed światem, w hymnie wolności, którym zadzwieczyła pustynia i rozspiewało się umęczone morze, stwierdzona jest wtóra przeogromna rzecz: Dopełnienie.

Bardzo wcześnie, zanim pierwsza smuga jutrenki drasnęła szczyty Moabskich skał, w piersiach Janowych zapaliło się wieczne słońce...

Stał nad brzegiem Jordanu. W porannym świetle płowa i mętna toń rzeki połyskiwała wytryskiem złotych skier. Prąd leciał wartko pomiędzy zielonością spadzistych wybrzeży. Słowiki dośpiewywały w gęstwinie młodych drzew.

Nie rozpoczynał obrządku chrztu, mimo ciżbę, tłoczącą się niecierpliwie.

Czekał.

A po niedługiej chwili nie potrzebował mu nikt obwieszczać imienia ubogiego człowieka, idącego ku niemu piaszczystą, znojną drogą. Przejrzał od razu wszystek ciąg tego trudu, począwszy od zacisznych bram Nazaretu. Wspomnił całą nędzę wędrowca, skromnego syna cieśli...

I—upadłszy na ziemię, nie uznał się dość godnym, aby rozwiązał rzemyki obuwia Jego...

Tu się właściwie kończy historia Jana.

Spłynęła w nieśmiertelność spolem z szelstem przeświełionych, przedziwnych kropel, które Chrzyciel win ludzkich wylał na głowę—przyjmującą wszystko człowieczą z własnej woli...

Z LITWY.

Z CYKLU: „WIEŚ”.

III.

Wincenty Pol, charakteryzując Litwina, śpiewał:

„Ale Litwin nie wygada,
Bo w tej duszy hart nielada;
Kiedy dobry, jak wosk, tonie,
Ale gdy go kto zahaczy,
To i w grobie nie przebaczy
I na końcu swego dopnie!”

Tak charakteryzuje lud litewski nasz poeta.



Przed chatą litewską.

Zestawiając tę charakterystykę z tem, co się dziś o antagonizmie litewsko-polskim słyszy, przyjść trzeba do przekonania, że albo ten Litwin był „zahaczony”, przeto i antagonizm gorzej w całej pełni; albo też nie był „zahaczony”—i zgoła żadnego antagonizmu niema.

I to ostatnie istotną jest prawdą.

Garść karyerowiczów rozdmuchała, co prawda, da tu i owdzie nie tyle na podkładzie plemiennym, co religijno-socjalnym, oparte niesnaski, używając języka i pacierza za broń, za hasło—i tyle.

Stara to zresztą metoda, a nie wiodąca do realnego celu nigdzie.

I tutaj też, mimo ogromnej naganki i rozdmuchiwania każdego poszczególnego zajścia, nie osiąga celu.

O „antagonizmie” plemiennym ostatnie słowo wypowiada zawsze i wszędzie lud, który tylko do czasu daje się używać za powolne narzędzie.

Lud, zamieszkujący ziemię, potocznie Litwą nazywaną, już się wypowiedział. Żyje z sąsiadem o miedzę zgodnie, po bratersku, kojarzy się w związki rodzinne, łączy do siebie, sam swojej historii przyszłej dając podwalinę.

A zresztą konia z rzędem temu, kto na jarmarku w Oranach, Lidzie, Nowogródka (nie mówiąc już o białostockich i grodzieńskich stronach) Litwina, Białorusa, czy polskiego Mazura z powierzchni odgadnie.

Kiedy rdzenny Ukrainiec, Podolak, a nawet Wołyniak odcina się już fizyognomią od polskiego chłopca, tu niema zgoła różnicy. Włos płowy, oko niebieskie, wzrost raczej średni, niż wysoki, słowem, typ omal mazurski, a może jeszcze więcej do kurpiowskiego zbliżony.

Tymczasem osiedlonego na Litwie „staro-obrzędowca” wśród tysiącznej rzeszy Białorusinów, Litwinów, czy Polaków poznasz od rzutu oka.

Jeżeli kto co nieco odcina się typem z masy litewskich rdzennych mieszkańców, to chyba jeden Żmudzin. Ale wyodrębnienie to nieznaczne, podobne jak u nas między Księżakiem a Kujawiakiem.

I w pieśni ludowej, tym najlepszym sprawdzianiu pobratymstwa, życia się, zarówno w treści, jak i w nucie, jest jakiś akord, jakiś akompaniament ludowej duszy wspólny.

Na zagonie słyhać nieraz rzewną polską piosenkę, nuconą z tą śpiewnością, tutejszym okolicom właściwą:

„Hej, tam w ciemnym lasku
Zórawie śpiewają,
A mego Jasinia
Na wojnę wołajom,
O, mój Boże kochany!
O, mój Boże kochany!”

A obok o miedzę białoruskie zawodzenie:

„Buduć minie mołojca
W sołdaciki brać,
Buduć minie mołojca
Bieły ruczki wiazać,
Buduć minie mołojca
Skoru nożki kować.
Ty pa tom moja matka
Nie płacz, nie tuży,
Nie pieczalsia po mnie...”

I melodia, i treść blizkie, pokrewne, pokumane.

W niektórych okolicach znajduje się wyraźny odcisk naszego krakowiaka lub mazura:

U Uarszawie, u Uarszawie
Komedya ihrąła
Tam mołoda bondarewna
Usiu nocz huląła!

Jak huląła, tak huląła
Z tymi dwornikami,
Jak doczuńsia Pan koniuszy,
Szto z jęgo słuhami!

Piosnkę tę słyszałem w różnych miejscowościach, i zdaleka zdało się, jakby ją gdzieś na krakowskim łąnie nucono.

Mniej nuci i mniej posiada pieśni Litwin. Jednakże i ta, którą się najmniej słyszy, nie posiada mimo języka obcości...

„Lajme szauke, Lajne reke
Basi negant per kalneli...”

Brzmi to, gdy się wyraźnie dźwięki zgłosek odróżnia, nieco obco, ale melodyę naszego kujawiaka przypomina.

A przecież to nie są pieśni uczone, nie kościelne nawet, ale te, co się wprost w duszy ludu rodzą, a tak bliźniaczo pokrewne!

I mówić tu o antagonizmie! Niema go! jest tylko wydęta przez ambitne jednostki „kwestya” na papierze, lud naprawdę jej nie uznaje.

KAZIMIERZ LASKOWSKI.

Szanownych prenumeratorów „Tygodnika Ilustrowanego” prosimy o wniesienie opłaty na kwartał czwarty roku bieżącego.



Orkiestra włociańska z majątku Żdźary p. Wincentego Łoskowskiego, która przez dni parę przygrywała na wystawie.



Włocianie z okolic Kielc.

W blasku Jasnej Góry.

II.

W krasną cizbę wcisnął się człowiek światowy, trącił dziewczuchę.

— *Pardon!*

— Cóż to mu zrobiła?...—upomniała ją matka.

— A nic.

— I bez cóż cię zezwał?... Pokraka.

Zaś drugi w pawilonie drobnego przemysłu:

— A jakbym ci tę broszkę przymierzył, aniołku.

— A jakbym pana rżała w pysk?

* * *

Działalność wystawy w sprawie porozumienia ludu z miastem i dworem, na zasadzie wspólności interesów handlowych i celów ogólnoludzkich, nie przyniosła, jak się wydaje, pomyślnych wyników. Podejrzliwy z natury jęł chłop, zaś nieufność do „państwa” wytworzyły znane warunki współżycia, wreszcie nie rad słuca ludzkiej nauce, przywykł czerpać wiedzę z własnych doświadczeń, wierzyć prawdom, które własne życie podaje, przez co na wszystko rozum ma—swoj, i—

— Co tam komu, że różności obaczy, kiej do domu na tę samą biedę trza wracać.

— Ino daremna oskoma.

— Jakbyś psu sadło pokazał.

A treść żalów w tem, że chłop w każdym urzędzeniu społecznym chciałby mieć pomoc doraźną na wszystkie dolegliwości i troski. Na wystawie na każdym kroku spotyka się tę ucieleśnioną markotność. Barwny w kolorze, smutny w wyrazie kmieć chodzi, ogląda, dziwuje się, ale nie widzi korzyści, bo cóż z tego, że prawią, jak to rolę trza z perzu oczyścić, kiej statku nie dadzą, co po tem, że człowiek różne „tryery”, „Tryumfy” obaczy, kiej niema młynka w stodole.

* * *

Do pawilonu narzędzi rolniczych gospodarz chętnie się garnie. Jeden już od lat paru pługi targuje, drugi myśli o bronie żelaznej, tamten się za „ładą” ogląda, a innemu kosiskoby się zdało, wreszcie miło na żelazo popatrzeć, na rzemień—lube sercu dwa artykuły, i miło nad młockarnią głową pokiwać, jaka to moc, nad siewnikiem

wydziać, a kultywator może i dobry, ale ździebko przydrogi, i—raju, raju, co to wszystko ludzie wymyślą, a na biedę—nic.

Z gromadkami przewodnicy chodzą, z obca instruktorami nazwani, i już chłop nie blizką duszę widzi przed sobą, lecz urzędnika, co się tak jakoś cudacznie nazywa, że ani wymówić. I jeszcze niejedna chwila zakłopotania go czeka, bo instruktorzy, często mało z ludem obcy, sypią gęsto cudzoziemskie wyrazy. Mało korzyści z wykładu, bo wtedy nikt nie patrzy na przedmiot, lecz wszystkie głowy, otwarte usta, pół przymrużone oczy ku mówiącemu zwrócone, a szept gdzieś na tyłach:

— Łebsko coś prawię.

— Nie na chłopski to rozum.

A w końcu ktoś niecierpliw:

— Pódzwa oglądać, bo ino mitręga.

I rozchodzą się ludzie, a potem, jak to ktoś opowiadał, gdy baba ździebko zamroczonego chłopca wiodła z wystawy, precz wykrzykiwał:

— Górą nasi! Hurra. Kwalifikacya, chemikali-ja!

A baba w bek.

Że to chłopu rozum zepsuli.

* * *

Nie godzi się jednak ujmować zasługi tym ludziom dobrej woli i czynu, którzy podjęli się trudu objaśnień. Praca nielada i celu szczerłość, lecz tylko niektórzy pojęli dobrze podjęte obowiązki, do czego koniecznym warunkiem zrozumienia dusz chłopskich i to dość



Piękne Chrzczonowianki z Lubelskiego.

trudne pozyskanie zrazu przychylności i wiary słuchaczy. Nie sztuczną uprzejmością się ona zdobywa, lecz prostotą myśli i szczerem sercem, zaś—wy—polskie, rodzime, do gospodarza zwrócone, zawsze szczerzej mu dźwięczy, niż owi—panowie, łaskawi panowie, jak to często się słyszy.

Naleciałość doby ostatniej, niepolski obyczaj, a wreszcie nierad i kmieć, bo uraża go—pan. Nie „profesyjant” on przecie, tylko gospodarz.

* * *

Jednak zmieniło się wiele, gdy spojrzeć w dusze. Myśli chłopów dotarło już zdrowe zrozumienie, że coś wiedzieć należy, że uczyć się trzeba. Miło też widzieć, gdy ów „ciemny naród”, jak sam mówi o sobie, skupuje tanie książeczki, gazety, zbiera prospekty, cenniki, a po byle papier drukowany każdy się schyli z uśmiechem.

— Dobrze przeczytać...—powiada i rad, że tę swoją ubożuchną bibliotekę powiększył, i czyta w długie zimowe wieczory, a tą drogą jedynie, najpewniej, zbiegną się, skupią myśli, zamierzenia i cele wielkiej gromady polskiego ludu, kipiącej żywną mocą dawnego kochania, dawnej nienawiści. Ale nie tej, co w gromkich wyrazach, wielkich hasłach, partyjnych związkach ujście znajduje, lecz tej cichej, pokornej, co na samem dnie duszy przyległa, jednym słowem się nie zdradzi, a chwili sposobnej jest, jako płomień, żartka, jako płomień, podstępna.

Na szczęście drapieżna „kultura” nie tknęła jeszcze ich myśli, gdzie żyją *wszystkie* polskie pamiątki, *wszystkie* polskie tradycje, nie zdarła jeszcze rogatyw i sukman barwistych, nie rozpętała pasów, a z krzepkich garści nie wysała mocy, nie skaziła duszy niewiarą. I dobrze, i chwała, gdy stanie chłop polski, otoczą go kołem, a on rozpowiada choćby o swej starodawnej odzieży, w której zaklął pamięć dni drogich.

— Bo to, widzita, czarne śnureczki po białej leca sukmanie, jak to się wija, jakby w żałości, a nie wita dla czego. Owo, jak pomarł nam król, niby Kazimierz, tośwa po nim gęsto płakali, zaś dla znaku, żeby żałości nie na rok, nie na dwa, oto czarne śnureczki na białej sukmanie ostały.

Trzeba wierzyć w ten lud, który pięćset lat z górą niesie żałobę. To nie „partya” wczorajsza bez jutra.

ZYGM. BARTKIEWICZ.

Towarzystwo wpisów szkolnych.

Spółeczeństwo polskie stanęło w obliczu nowej klęski. Z rozporządzenia władzy zamknięte zostało Towarzystwo wpisów szkolnych. Najpopularniejsza od czasów Macierzy instytucja przestała istnieć...

Krótki komunikat, zawiadamiający o tem, wywołał w całym kraju wrażenie przygnębienia, wrażenie tem silniejsze, że zbiegło się ono z chwilą, gdy naród, czcząc pamięć nieśmiertelnego twórcy „Króla Ducha”, powtarzał w skupieniu wielkie słowa Jego testamentu: „Niech żywi nie tracą nadziei i przed narodem niosą oświaty kaganiec.”

Czem było Towarzystwo wpisów szkolnych, jakie miało zamierzenia i cele, mówić zbyt trudno. Świadczą o tem setki rąk, które kołatały do jego kasy i nie odchodziły od niej próżne. Świadczą wymownie setki działwy szkolnej, która bez pomocy materialnej byłaby *poza szkołę*.

Instytucja, o charakterze i typie nieznanym nigdzie, w żadnym społeczeństwie, rozwijającym się normalnie, bez przeszkód i sztucznych otamowań życia, powstała z głębokiej troski o przyszłość. Powołała ją do bytu inicjatywa obywatelska, a byt jej utrwaliła ofiarność zbiorowa. Datki bogatych i grosze ubogich spływały tu do jednego łożyska, łączyły się i wspólnie szły na służbę sprawy oświatowej. Szkoła polska stawała się przez to dostępną nie tylko dla warstw uprzywilejowanych, ale również dla dzieci rodziców niezamożnych. Wrota jej otwierały się szerzej, a tysiące serc macierzyńskich i ojcowskich były nadzieją, radością, otuchą. I oto nagle, jak grom, spadła wiadomość o zamknięciu instytucji tak niezbędnej, tak koniecznej w warunkach, w jakich powstało i rozwija się nasze szkolnictwo prywatne.

Niepodobna pogodzić się z myślą, że jest to fakt dokonany, zwłaszcza, że powodem zamknięcia Towarzystwa wpisów szkolnych jest nieporozumienie, wynikłe aż nadto widocznie z fałszywego i niezgodnego z prawdą poglądu na działalność instytucji. Chcemy wierzyć i wierzymy, że sprawa wyświecili się, że rozporządzenie zostanie cofnięte, zanim nadejdzie termin uiszczania wpisów szkolnych, i że zastępy tej działwy i młodzieży, które dotychczas korzystały z opieki i pomocy Towarzystwa, opiekę tę i pomoc otrzymają z tego samego źródła nadal.

A gdyby nawet i nie, to społeczeństwo i tak nie powinno ustawać w swej ofiarności, ale utrzymać ją w dotychczasowym napięciu, aby we właściwej chwili mogło powiedzieć, że spełniło swój obowiązek wobec tych, co idą przez szkołę ku słonecznemu światłu lepszego jutra. [Z. D.]

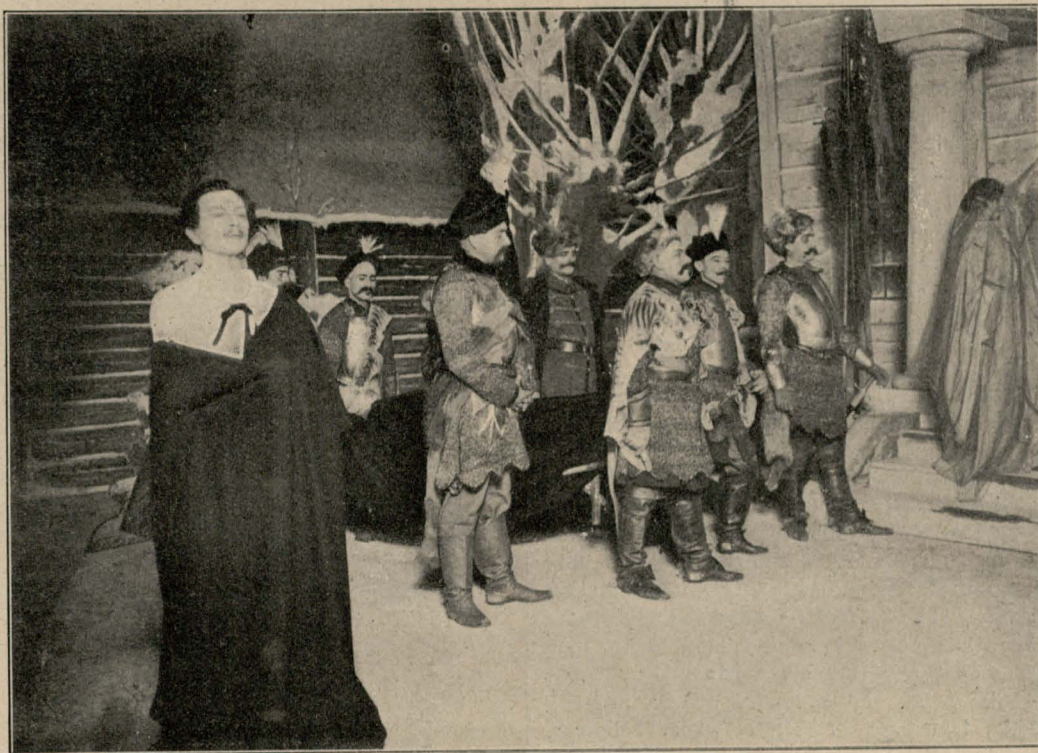
„Złota Czaszka” Słowackiego

NA SCENIE WARSZAWSKIEJ.

W setną rocznicę urodzin Słowackiego mogliśmy oglądać tu, na naszej scenie, tylko: cenne—ale fragmenty jego nie dokończonego utworu, piękne—ale dopiero tylko zawiązanie naszkicowanego dramatu.

O! powiało tylko ze sceny na salę—o! nie przepelnioną bynajmniej—atmosfera i nastrojem, pod których czarem przebywamy nieczęsto.

Imaginacja tedy nasza pospajała scen okrucy w wizję, w którą wpatrywaliśmy się mocniej i nieprzepraciej, niż w to, co się działo na scenie. I zaznaliśmy wrażeń i wzruszeń, sięgających daleko poza ubrany w chorągwie cechowe dwo-



„Złota Czaszka” Słowackiego na scenie Teatru Letniego. Epi'og i obraz końcowy.

rek szlachecki pana strażnika krzemienieckiego. Uniósł nas — daleko: rozpęd, wzięty przez ducha Słowackiego z tej oto, poruszonej hasłem konfederackim, małej placóweczki b. Rzeczypospolitej.

To, to przedewszystkiem dało nam wystawienie w Teatrze Letnim „Złotej czaszki”.

Staranne było, ożywione najlepszymi chęciami; w niektórych momentach nawet piękne i niepowседневne (np. chwila śpiewania „jasnej kolenidy w przyćmionej piekarni”), ale widowisko wypadło na ogół... bledsze, niż mogliśmy się spodziewać. Zawód uczynił nam zwłaszcza sam p. strażnik. Zaczny, cnotliwy, bardzo wiernie staropolski, nie porwał się jednak, otrzymawszy pozwolenie królewskie zwołania konfederacji, a ogłaszając ją na cmentarzu nie miał udzielającego się zapału i akcentu, harmonizującego z trzaskaniem w karabele. Ale bo też i tłum szlachy, słuchającej strażnika, sam zapomniał tizaskać w karabele. Stał w przykładowym ordynku operowych statystów, wystrzegających się przerywać śpiewającemu aryę tenorowi. Owóż i kardynalny moment naszkicowanej przez Słowackiego tragedii: patriotyczne porwanie się szlachty na Szweda, nie został w interpretacji scenicznej należycie wyzyskany, uwydatniony, rzucony na plan pierwszy.

Przeciwnie — dobyto najwyraźniej na jaw: anegdotę obyczajową, która (o ile wnosić wolno), accessorium tylko w „Złotej czaszce” stanowić miała. Stało się to, być może, za przyczyną świetnej gry Leszczyńskiego, jako ks. prowincyała, bardzo trafnego i umiejętnego odtworzenia strażnikowej (p. Żółkowska), oraz za przyczyną wybornych postaci „rodzajowych”, wprowadzonych na



Gwardyan (p. Leszczyński) i Strażnik Złota Czaszka (p. Rapacki).

scenę przez p. Szymanowskiego (Jankiel), Grubińskiego (zakrystyan) i Owerłę (student-skrybent Stanisław).

Owóż i środowisko domowe szlacheckie poszło przodem, rozwieliło się i zastąpiło perspektywę historyczną, powierzona pieczy i straży pana strażnika i pana Koniecpolskiego.

Wypadło widowisko miłe, przyjemne, ujmujące za serce; a wypaść mogło—wstrząsające głębiej i poruszające wiele innych jeszcze strun w duszy naszej.

Nie zdołał już odrobić tego, co się stało, p. Wostrowski (upodobniony do samego Słowackiego) mocnym wypowiedzeniem epilogu. A już zgoda nie wiem, czyli potrzebnie dodano własnego pomysłu „żywy obraz”, mający niejako ilustrować ostatnie słowa epilogu:

„I usłyszycie, jak puka do ściany
Nieszczęście...”

Wcale ładny obraz: alegoryczna postać niewieścia, w szarych welonach, przyprowadza do dworku zwłoki pana strażnika Złota Czaszka, ale nie nazbyt wysokiego jest smaku takie powątpiewanie w siły wyobraźni naszej, potrzebującej rzekomo aż tak namacalnego uwidocznienia „Nieszczęścia”, którem Słowacki *miał* zamiar zamknąć tragedję swoją, przetkaną oto w zawiązku błyskami cudownego humoru.

Jednak—i za ten... błysk Słowackiego na scenie naszej dramatycznej, tak wciąż jeszcze salowo-francuskiej, niech wżem wobec, a każdemu z osobna, który się do tego przyczynił, wypowiedziane będzie najszczęstsze podziękowanie. Dobrze i pięknie się stało, że... choć „Złotą czaszkę” oglądać nam dano, że uchylono choć rąbek kurtyny dla zajrzenia oczyma i duszą—w świat pięknej i podniosłej fikcji, będącej odbłaskiem realnej niegdys rzeczywistości.

Ostatnich słów, skreślonych przez Słowackiego we fragmencie, zamykającym „Złotą czaszkę”, nie dopowiedziano ze sceny. Oczywiście, aby nie osłabić efektu „Nieszczęścia, pukającego do ściany”. Wolno nam jednak *po* wystawieniu „Złotej czaszki” na scenie warszawskiej w dniu 4-tym września „wszystko rozważyć na szali” i—wrozumiałymi być. I wierzyć, że w dom spokojny, broniony przez wiarę i cnotę, nieszczęście puka—nie zawsze, nie obowiązkowo, nie z koniecznością tragiczną. Czas sam wszechpotężny czas w postępie swoim odmienia pory roku i otwiera na dzień ciepły wiosenny zaryglowane okna domu. Z przyrodzeniem zgodna odmiana taka silniejsza jest, niż „miecze ludzkie i Gotfredowe tarcze”, o które pan strażnik wspomina w alokucji swojej i nad które przecie wyżej stawia—sprawiedliwe, niechybne zrzędzenie Boże.

W imię lepszej przyszłości.

Jest w Warszawie cały szereg pożytecznych instytucji, o których ogół nie wie nic, lub prawie nic. Z tej nieświadomości płynie nieraz zbyt nie lekceważenie własnego dorobku kulturalnego w porównaniu z zagranicą. Odwrotnie, z uświadomienia musi powstać przekonanie, że, mimo wszelkich przeszkód, mimo złożenia brzemienia dzieł kulturalnych na barki jednostek dobrej woli i dobrego czynu, przecież życie się u nas porusza.

Do tego uświadomienia przyczynimy się informacją.

Na rogu ul. Chmielnej i Zielnej wznosi się skromny dom. Znajdziecie na nim napis: „Muzeum rzemiosł i sztuki stosowanej”. Cztery piętra. Na każdym pełne światła, liczne sale rysunkowe; przejścia i schody zdobne kredkowemi, malowanemi pracami o wysokim poziomie artystycznym. Dół zajmują wzory i zbiory. Ideał, do którego uczniowie zdążać mają. Ozdobne klucze, piękne zamki, kute w różne figlasy wyroby metalowe, arcydzieła opraw i okładek, kraszanki, piękne pękate garnki, wijące się dziwnymi arabeskami koronki, kwiaty na drzewie, owoce intarsji, wytłaczania, trawione, rozmaite wzory zabawek, po dziś dzień jedynie z zagranicy sprowadzanych, nawet mniej podniosłe kopyta szewskie, rusztowania z drzewa i wiele, wiele innych rzeczy.



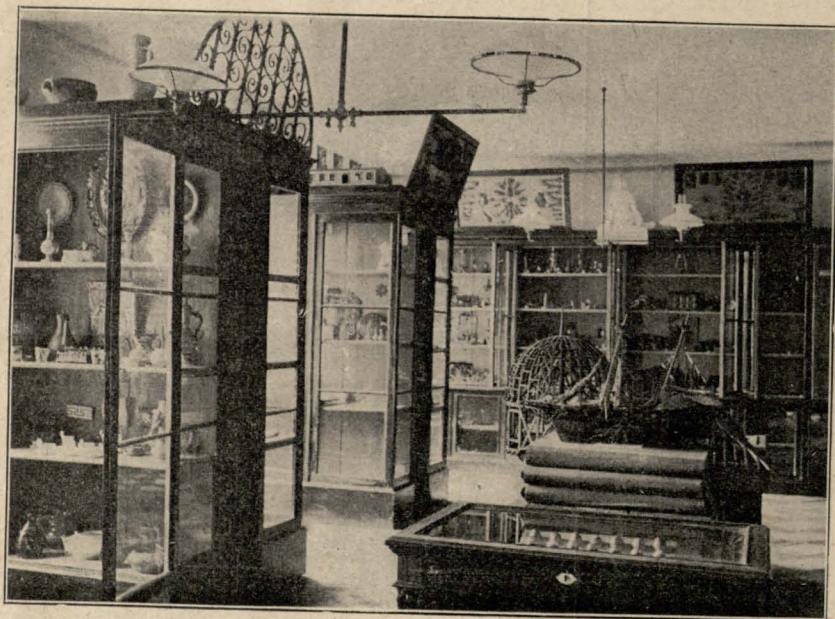
Gmach Muzeum rzemiosł i sztuki stosowanej na rogu ulic Chmielnej i Zielnej.

dzielię ubiegłą. Na przeróbki wewnętrzne, na dobudowanie czwartego piętra ze światłem górnym wydano 15,000 rb. W wydatkowaniu trzeba pod-

się jednak przez Muzeum osiem tysięcy rzemieślników, którzy nauczyli się tu rysować i modelować. Teraz może tu znaleźć corocznie naukę ośmiuset ludzi; każda z sal mieści pięćdziesięciu uczniów z rajzbretami, a jest ich sześć; sala zaś odczytowa liczy 150 miejsc, dzielących się wedle woli na oddziały zawodowego wykształcenia mularzy, ślusarzy, grafików (od wczoraj) malarzy (w najbliższej przyszłości).

I to wszystko robi się tak sobie, z powietrza? Nie. Wola jednostek, śpieszących z ofiarą swego czasu i pracy, jest tą różdżką czarodziejską, z pod której tryskają źródła pomocy materialnej. Jest ich mało. Więc słusznie każdy mówca podnosił przed tygodniem konieczność pomocy społeczeństwa dobrej sprawie. Rzecz to nie trudna. Ustawa zna nie tylko założycieli, którzy złożą jednorazowo rb. 500, ale i członków rzeczywistych, płacących 5 rb. rocznie, a nawet członków współpracowników, zgoła nic nie płacących, lecz oddających Muzeum usługi i przyczyniających się do spełniania jego zadań. A my spełniamy tylko swój obowiązek popierania każdego poczynania dobrego, zachęcając gorąco naszych czytelników, by się do tej lub owej kategorii członków Muzeum zapisywali.

Trzeba stawiać rzeczy jasno. Od lat paru rozlegają się hasła bojkotu towarów niemieckich. Hasła, które dzielią wszyscy, a które przecież wy-



ZBIORY MUZEALNE.

To wzory, na których uczyć i kształcić się mają nasi rzemieślnicy. Uczyć i kształcić się w licznych kursach rysunkowych. A jak te rzeczy powstały, opowiedzieć warto. Nie przesadzajmy lęku cyfr i dat.

Przed laty osiemnastu Hipolit Wawelberg ofiarował 25 tysięcy rubli zarządowi Muzeum Przemysłu i Rolnictwa dla instytucji, której celem byłoby nauczenie rzemieślników naszych rysunku. Zajął się tą sprawą p. Władysław Kiślański, przy bardzo czynnym współudziale Stanisława Rotwanda, Wojciecha Gersona i Mathiasa Bersona.

W r. 1903 nastąpiła zmiana zarządu. Na czele stanął niestrudzony dr. Karol Benni, a dyrektorem został p. Stefan Dąbrowski, dusza wykonania praktycznego zamierzeń, człowiek, któremu Muzeum zawdzięcza niezmiernie wiele. Przeniesiono w tym czasie lokale z gmachu Muzeum przemysłu i Rolnictwa na Składową.

Instytucja rozwinęła się już dostatecznie, by o własnych siłach stanąć. W roku 1907 wyjednana została ustawa niezależna, a w rok potem stanął przed nią dylemat i pomieszczenia niezależnego. Bo na Składową przeniesiono kursy rzemieślnicze. Nie było już miejsca. Więc kupiono za 65,000 rubli dom, który poświęciliśmy w nie-

nieść ogromne poszanowanie grosza publicznego. Co zrobiono—zrobiono ogromnie tanio. W urzędzeniu wewnętrznym widać zupełną prostotę i celowość, bez tak pospolitego u nas czynnika optyki zewnętrznej.

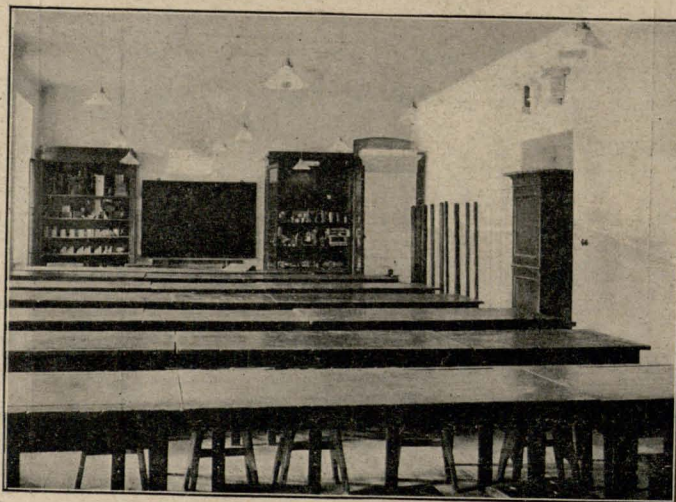
Te dzieje można uważać za koniec okresu przygotowawczego, w ciągu którego przewinęło

wołują nieraz uśmiech sceptyczny, gdy im pożyteczny czyn nie towarzyszy.

Warto więc przypomnieć, że przed laty dwudziestu księstwo Badeńskie rozbrzmiewało głośno powszechnie czczonym nazwiskiem Steinweissa, twórcy nie jednego, lecz szeregu Muzeów rzemieślniczych. Bo przez to wzmocnił, podniósł ekonomicznie swoją ojczyznę.

Czy stawała ta w Polsce stanie się udziałem twórców naszego Muzeum, które może i powinno promieniować kulturalnie na całe Królestwo? Jeżeli chodzi o napięcie woli i jego wyniki, z pewnością tak. Jeżeli zaś o dotykane rezultaty, jeszcze nie. Oni zrobili, co powinni, a co będzie, jest w ręku samego społeczeństwa i jego poparcia.

Walka ekonomiczna jest nieubłagana. Uczucia, hasła to rzecz drugorzędna. A pierwszorzędna—doprowadzenie wyrobów naszych rzemieślników do doskonałości zagranicznej. Temu celowi służy Muzeum rzemiosł i sztuki stosowanej. I dlatego zasługuje na najlepsze życzenia dalszego, wielkiego rozwoju i na najgorętsze poparcie wszystkich tych, którym nie tylko hasła, lecz i koniecznie biorący w nich początek czyn leży na sercu. Dalszy ciąg i skutek artykułu spoczywa w rękach czytelników.



Sala rysunkowa w Muzeum rzemiosł.



NA POCZTÓWKACH.

WRAŻENIE NIECO.

IX.

Wiedeń.

Pełno tu w wystawowych oknach księgarń, u przekupniów ulicznych, po dworcach kolei: monografii i broszur historyczno-aktualnych.

Austria święci setną rocznicę nader rzadkiego wypadku: zwycięstwa wojsk swoich. I to już nie nad byle jakim przeciwnikiem. Sto lat temu porażony został przez austriackiego arcyksięcia Karola sam Napoleon pod Aspern. Było to w końcu maja 1809 r., a już w pierwszych dniach lipca zrewanżował się cesarz wielkim dziełem kunsztu wojennego: przeprowadzeniem 150,000-nej armii przez Dunaj pod Wiedniem, przygotowując tem sobie zwycięstwo pod Wagramem. Historia stawia to dzieło narówni z najświetniejszymi militarnymi czynami Cezara, ile że przeprawa przez Dunaj dokonana była wręcz w obliczu wroga, tegoż arcyksięcia Karola, obozującego z ogromną siłą po tamtej stronie rzeki. Przygotowaniami, do najdrobniejszych szczegółów obmyślaniami genialnie, kierował sam Napoleon, stojący kwaterą w Schönbrunnie.

No i 4-go lipca 1809 r., o ósmej wieczorem, na znak dany trzema salwami armatnimi z wyspy dunajskiej Lobau, podniosła się z biwa-

ków armia potężna, śpiewając pełną piersią hymn bojowy „*Partant pour la Syrie*” i, przekroczwszy wyrosłe, jak z pod ziemi, mosty na Dunaju, poszła pod Wagram.

Burza zaś straszliwa niosła się przodem przed armią cesarską—jak herold.

Lecz stolica Austrii jubileuszuje dziś nie na ten temat, jeno na temat: Aspern i pierwszego zbrojnego drgnięcia Tyrolu pod żelazną dłoń zwycięzcy z pod Austerlitz. Niech-że ma radosną chwilę—tej właśnie natury. Nie wyłącznie przecież święcić tylko jubileusze walców i operetek...

Może nawet śpieszyć się wypada z rozpamiętywaniem takich oto nadludzkich wysiłków, jak np. ciężka przeprawa całej hordy wojska przez Dunaj. Ba! ba!... Gdy zaczną powietrzem latać balony, będziemy już może tylko... żałowali tych nieszczęsnych praociców naszych, którzy musieli—ongi—trudzić się tak okrutnie nad przeprowadzaniem się przez byle rzekę lub przedostaniem się za byle górę...

Ba!... ba! Strach pomyśleć, co się stanie nawet z temi różnokolorowemi wstążeczkami granic dzisiejszych geograficznych—na mapach. Długimi, bardzo długimi żerdziami wypadnie, jak ostrokołem, ogradzać granice państw, aby baloniki nie mogły ich—przebijać... bez paszportu zagranicznego.

Żle spojrzeć wogóle na historię—*sub specie aeternitatis*. Chęć odpada kupienia sobie pamiątkowej broszurki za 40 halerzy lub za marną koronę.

I zanim zdrobnieją „wielkie” dzieła, dokonywane dotąd przez ludzkość, pobankrutują wydawcy jubileuszowych książeczek, a są to przypuszczalnie ludzie godni ze wszech miar utrzymania ich przy życiu.

X.

Wiedeń.

Zacni ludzie Wiedeńczycy. Nic ich nie obchodzi, że miasto ich latem staje się martwe i nudne—jak prowincjonalna miścina. Oni sobie wystają godzinami całymi przed nowym elektrycznym zegarem, wprawionym w ścianę św. Stefana, pilnując przeskakiwania tafelek, wyświetlających upływające minuty. Też rozrywka niegorsza... dla Wiedeńczyków.

Ale gust mają, bo mają! Kapelusze damskie w oknach sklepowych wiedeńskich—prześliczne. Doprawdy? Te dzisiejsze modne potwory? Tak, właśnie. Nawet w Paryżu nie potrafiono tak wypięknąć tych dziwolągów, jak tego dokazano w Wiedniu.

Drogie miasto, martwe miasto (w stosunku do innych *Weltstadt*ów), ale piękne, bo piękne—aż do szczegółów przelotnych.

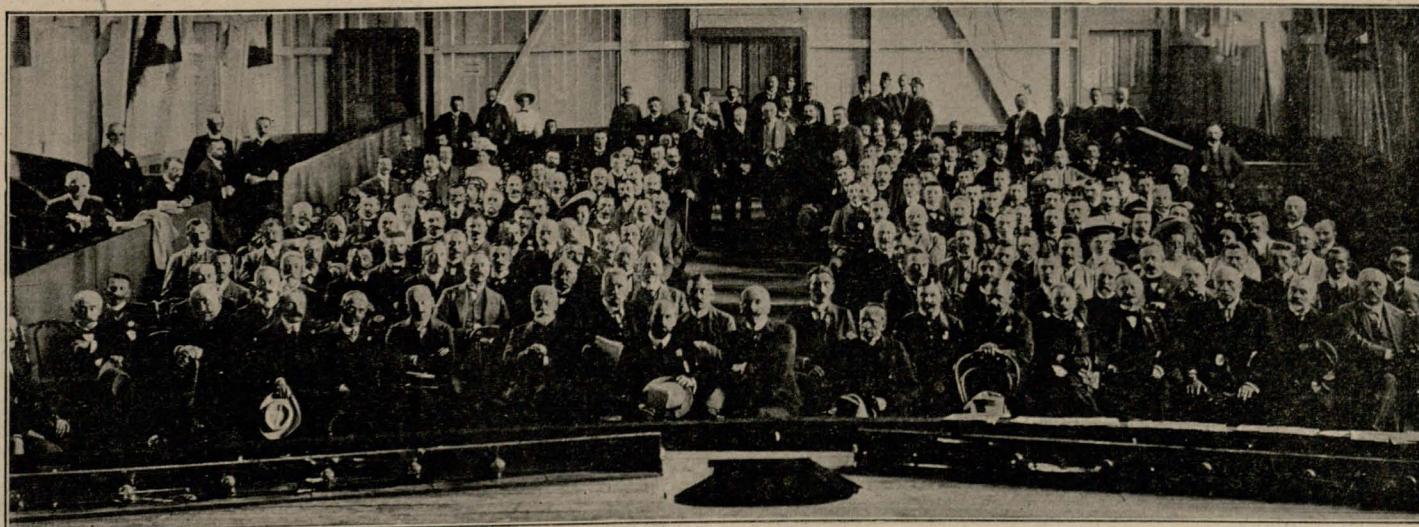
U Sachera, droga pani, cisza i pustka. Cisza, rozumie się, uroczysta i pustka—piękna. Ptasięgo mleka dostać u Sachera, ale—o wykałaczkę prosić trzeba. I—takiego na świecie niema tortu czekoladowego, jak u Sachera! Egzaltuję się? Ach, pani! Zawsze miałem skłonność do egzaltacji i sentymentalnych uniesień. Nie wymienię, kogo poczytywałem—za wcielnego anioła...

*Je ne saurais pour un empire
Vous la nommer...*

Co zaś do Sachera, to sala jego główna przypomina mi zawsze—synagogę Żydów hiszpańskich w Amsterdamie. Kubek w kubek także, jak w owej bóżnicy prastarej, obicie ścian: *vieux cuir*. Tylko że ściany amsterdamskiej synagogi wyłożone precudowną, ceny wręcz nie mającą już dziś skórą prawdziwą; a sala restauracyjna Sachera wytapetowana imitacją skóry... Spytać mię pani gotowa: jak wygląda autentyczny *vieux cuir*? A no, tak akurat jak w synagodze amsterdamskiej. Nie żałując fatygi, przekonać się łatwo.

CZESŁAW JANKOWSKI.

Z WYSTAWY CZĘSTOCHOWSKIEJ.



[Posiedzenie Centralnego Towarzystwa Rolniczego z udziałem gości, w sali teatralnej na wystawie w Częstochowie.]

**Instytut elektrotechniczny
uniwersytetu w Tuluzie.**

(Rue Caraman, Toulouse, France).

Instytut elektrotechniczny w Tuluzie upoważniony jest rozporządzeniem ministerjalnym do wydawania dyplomów inżynierów elektrotechników. Czas trwania studiów 3 lata, z uwolnie-

niem od 1 do 2 lat. Nowo otworzony roczny kurs przygotowawczy dla kandydatów, nie mających wystarczających wiadomości do wstąpienia na kurs 1-szy.

**LEOPOLD KOCH, MIODOWA 2.
NAJLEPSZE UBIORY MĘSKIE.**

W. Golińska

PLAC TEATRALNY, POD FILARAMI,
BRONZY, PORCELANA, PERFUMY.

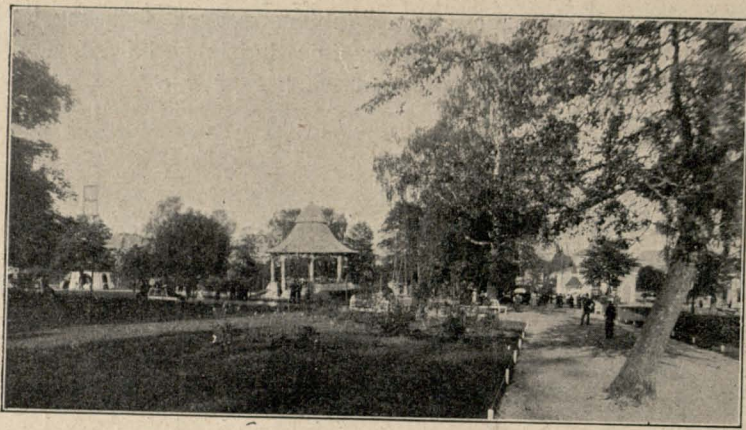
MEBLE STYLÓWE M. KALMUS
MARSZAŁKOWSKA 141. TELEFON 28-87.

„ŚMIECH” Tygodnik humor. ilustr. HOŻA 44'
w Warszawie kwartalnie rub. 1,
z przesyłką kwartalnie rub. 1 k. 25.

BIELIZNA MĘSKA I DAMSKA

K. Dutkiewicz, Ś-to Krzyska 30, w Warszawie.

Z WYSTAWY CZĘSTOCHOWSKIEJ.

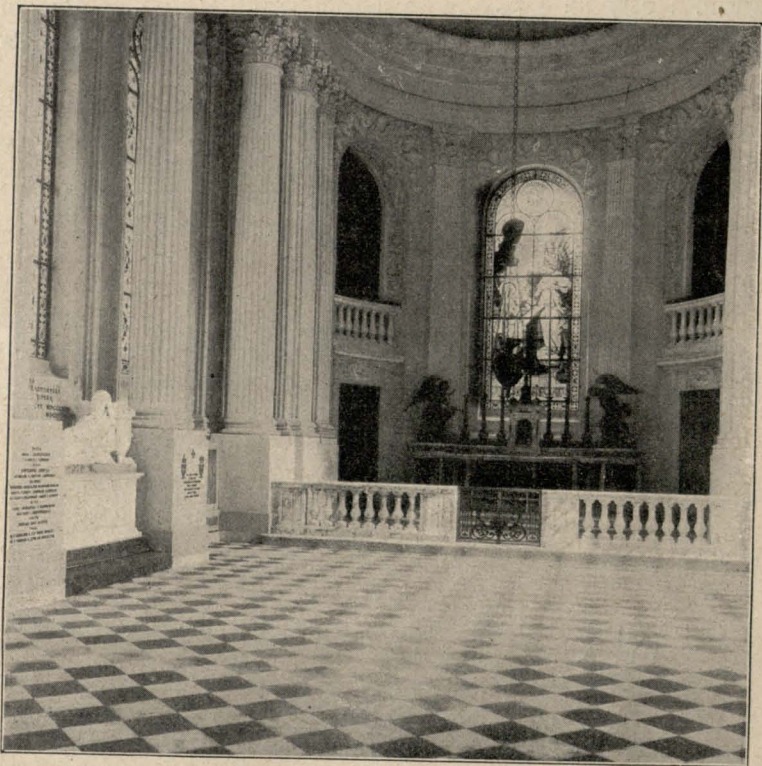


Z parku wystawowego.



Maszyny i narzędzia rolnicze.

KAPLICA PAŁACOWA W KOZŁÓWCE.



Kaplica ta, wzniesiona w r. z. przez ordynata Konstantego hr. Zamoyskiego, jest ciekawa z tego powodu, że jest zupełnie wierną kopią kaplicy królewskiej w Wersalu. Ołtarz jest ściśle skopiony z tego, który wykonano niegdyś z marmuru i brązu na obstalunek Ludwika XIV-go. Witraże są wzorowane na katedrze w Bourges, posiadającej najpiękniejsze we Francji. Po lewej stronie mamy biały marmurowy pomnik Zofii z ks. Czartoryskich, hr. ordynatowej Zamoyskiej, kopię Romalińskiego jej pomnika we Florencji, w kościele Santa Croce d'otto Bartholomey'ego.

ZE SZTUKI.

Wydawnictwo dzieł sztuki w Bochni p. f. „Stella” zajęło się wydaniem cyklu dziesięciu kart pocztowych z wyobrażeniem nieznanymi dzieł Wita Stwosza, o których zamieściliśmy źródłowy artykuł p. L. Stasiaka w N-rze 32 naszego pisma. Reprodukcyje wykonane są starannie i ze smakiem artystycznym.



Nilo Peçanha, nowy prezydent Stanów Zjednoczonych Brazylii.



Mary Garden, primadonna opery Metropolitan w New-Yorku, w roli „Thais”.

ZMARLI.

TADEUSZ SMOLEŃSKI. Od trzech lat zaczęto u nas mówić coraz głośniejszym głosem o poważnych odkryciach i zdobyciach w dziedzinie egiptologii, których dokonał młody, dwudziestokilkuletni uczo-

ny polski, Tadeusz Smoleński. A sława ta nie była bezasadna, skoro Francuz, profesor Maspero, dyrektor wydziału starożytności, nie wahał się powierzyć młodemu badaczowi polskiemu tak odpowiedzialnej misji, jak kierowanie austro-węgierską ekspedycją naukową, którą zorganizował magnat węgierski, Filip Back. Prof. Maspero okazał się doskonałym znawcą ludzi i ich umysłów. Odkrycia bowiem, których na czele ekspedycji austriackiej dokonał wówczas (przed dwoma laty) w Szarunie i El Gambudu wstępu do pustyni arabskiej przeszły najśmielsze oczekiwania najbardziej w jego niepospolity talent ufających. Smoleński odkrył tam między innymi świątynię, zbudowaną przez Ptolomeusza I, wodza Aleksan-

był człowiekiem powszechnie i wysoko szanowanym. Nigdy nie przestawał pracować na polu piśmiennictwa. Posiadał bardzo cenną bibliotekę, wśród niej rzadkie książki i broszury z XVII wie-



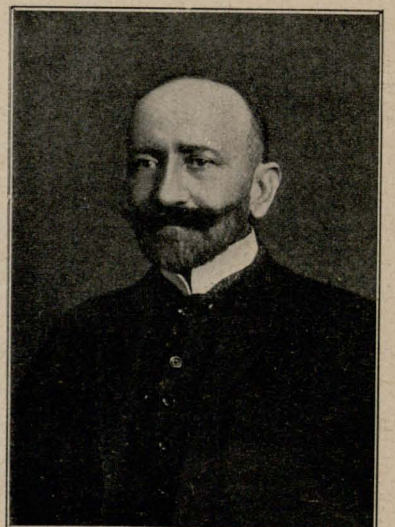
dra Wielkiego, a nadto przeszło 80 starych sarkofagów, posiadających dla egiptologii pierwszorzędne znaczenie. Odkrycie to, jak również i fakt, że dokonał go Smoleński nie przypadkowo, ale na podstawie ścisłych dedukcji historycznych w okolicach, które najstarsi archeologowie uważali za jałowe dla swojej specjalności, uczynił imię Smoleńskiego głośnie w całym europejskim świecie naukowym. Po tym świetnym sukcesie zabrał się Smoleński tem gorliwiej do pracy, która, niestety, podcięła jego nadwątłony gruźlicą organizm. Chrojąc się przed lipcowymi upałami w Egipcie, Smoleński wrócił do kraju i zamieszkał w sanatorium dra Dłuskiego w Zakopanem. Tu jednak choroba jego rozwinęła się tak bardzo, że musiał przenieść się do Krakowa, gdzie też dnia 29 z. m. umarł, zabierając z sobą do grobu te piękne nadzieje, które do jego talentu niepospolitego i pracowitości niezwykle przywiązywała już nauka polska, a nawet europejska. We wtorek ub. tygodnia szczupły orszak kolegów szkolnych, przyjaciół i krewnych odprowadził ciało dwudziestopięcioletniego uczonego na cmentarz krakowski.

ZYGMUNT MIROSLAWSKI, członek komitetu Towarzystwa Kredytowego m. Warszawy, zmarł w majątku swoim Urszulinie (pow. gostyński) w wieku lat 63. Po ukończeniu studiów prawnych ś. p. Mirosławski krótki czas tylko pracował w adwokaturze, poczem poświęcił się publicystyce w *Niwie*, gdzie artykuły jego były ozdobą pisma, chociaż cieszyło się to pismo współpracownictwem najznakomitszych pisarzy naszej epoki. Powołany w roku 1891 na członka komitetu nadzorczego Towarzystwa kredytowego m. Warszawy, piastował tę godność aż do końca życia, odmawiając w swej niezwyklej skromności przyjęcia stanowiska prezesa tegoż komitetu, które mu dwukrotnie koledy ofiarowywali. Zmarły



ku, dotyczące zwłaszcza sejmu czteroletniego i ówczesnego położenia ekonomicznego Polski. Z biblioteki tej korzystali często uczeni nasi, zwłaszcza prof. Tadeusz Korzon przy opracowywaniu „Dziejów wewnętrznych”. Ś. p. Mirosławski sam rzadko głos zabierał, ile razy wszakże to czynił, artykuły jego odznaczały się gruntownością i wytrawnością sądów; tu zapisać zwłaszcza wypada polemikę w sprawach kanalizacji Warszawy. Cześć pamięci zacnego człowieka i obywatela.

ŁUKASZ DOBRZAŃSKI. W chwili oddawania numeru pod prasę dochodzi nas smutna wieść o zgonie w Krakowie naszego kolegi, długoletniego współpracownika *Tygodnika*, Łukasza Dobrzańskiego. Nieuleczalna choroba przecięta pas-



mo życia, które mogło być jeszcze bardzo użytecznym. Podróżnik, doskonały fotograf i artysta, wysoko ceniony ze względu na zalety swego charakteru, pozostawia po sobie szczerzy żal w sercach tych wszystkich, którzy go znali. Obszerniejsze wspomnienie o naszym nieodżałowanym towarzyszu pracy zamieścimy w numerze następnym.



— Patrz... pani, on płacze—szepnął Kazimierz...

KONSTANTY GÓRSKI

JÓZEF WEYSSENHOFF:

UNIA

POWIEŚĆ LITEWSKA.

Zastrzega się prawo przedruku. 37)

Rokszyci rozmawiał z Aldoną w drzwiach, otwartych na ogród.

Była to taka rozmowa dwojga ludzi, którzy mają między sobą nienazwane obrażki uczuciowe i kończą je byle jak, dla przyzwoitości towarzyskiej. Kazimierz winował, Aldona śledziła wzrokiem, czy to powinszowanie szczere—wolałaby, żeby było trochę żałosne.—Ale Kazimierz naprawdę się cieszył z tak nagłych zaręczyn, niweczących wszelkie jego możliwe skrupuły co do uprzedniego zachowania się względem panny Budziszówny. Pocieszyła się tak prędko—bo jednak sześć tygodni temu, na jeziorze, nie było mowy o Kmicie.—A może przez zawód, przez obrażoną dumę kobiety?—

Ale nic z tych wzajemnych myśli nie przenikało do rozmowy. Mówiono o pogodzie, o kończącym się lecie, tak łaskawem na uroczystość...

Jednak Aldona była nieco wspanialsza, niż dawniej, jakby starała się okazać Kazi-

mierzowi, ile stracił, że się o nią nie postarał.

— Państwo naturalnie zamieszkają tutaj?—pytał Rokszyci.

— O tak! ja bym nie chciała nigdy rozstać się z Wiszunami. Zresztą rodzice oddają nam gospodarstwo, zachowując sobie tylko las i annuatę. Wprawdzie i ojciec mego narzeczonego daje mu duży majątek ziemski w wilkomierskim powiecie, ale wolimy oboje zostać tutaj.

Te wspaniałości materialne nie podobały się Kazimierzowi. Wolałby o nich nie słuchać.

— Tak, tu ładniej—odpowiedział obojętnie.

— A pan zna wilkomierskie strony?

— Nie znam, pani.

— To jakże może pan wiedzieć, że tu ładniej?

— Nie przypuszczam, aby gdzie kraj mógł być miłszy—rzekł Kazimierz z przekonaniem.

— Tak pan nasz kraj polubił?

— Czy to panią dziwi?

— Sądziłam, że pan stąd uciekał?

— Widzi pani, że powróciłem, i to zdaleka.

— Ach, to przypadek! to zapewne interesy fabryczne? Dla nasby pan z tak daleka nie przybył—uśmiechała się Aldona przenikliwie i dowcipnie.

Rokszyci ani myślał dać się pociągnąć za język, albo skonfundować. Obrął ton niby urażony:

— Otrzymałem aż dwa zaproszenia, więc sądzę, że mój przyjazd był... przewidziany?

— Ach, panie Rokszyci!—dała się złapać chwilowo Aldona—wszak zapraszaliśmy serdecznie; ja sama przypominałam...

— A zatem... jestem—dodał Kazimierz już wesoło.

Teraz dopiero zauważyła panna Budziszówna, że Rokszyci igra sobie z nią w tej szermierce, i trochę się nadąsała:

— Ja taki myślę, że pana bardziej bawią ludzie, niż obchodzą...?

Kazimierz spoważniał:

— Myli się pani, panno Aldono. W Wiszunach doznałem tak łaskawego przyjęcia, że głęboko zachowałem je w pamięci. Proszę wierzyć, że jestem państwu serdecznie oddany.

— Trzeba wierzyć panu—odrzekła Aldona nieco romantycznie.

Zbliżył się dość obcesowo do rozmawiających Stanisław Kmita, czarno opięty na smukłej postaci, z bujną falą ciemnych włosów nad rumianą twarzą, orderowego kwiatka od Aldony kawaler, i spojrzał najprzód w obce oczy Kazimierza, potem na trochę przybladłą twarz narzeczonej, jakby zapytując, jaka ma być jego interwencja, zbrojna czy pokojowa? Aldona oparła się o jego ramię ostentacyjnie:

— Pójdźmy nad jezioro. Proszę z nami, panie Rokszycki.

Kazimierz jednak wymówił się pozorem, że jeszcze nie ze wszystkimi się przywitał, i zaraz miał okazję uradowania się, że pozostał. Nie zauważył nowego przyjazdu, a może umyślnie pani Krystyna z panną Zubowską zajechała cicho gdzieś do bocznych drzwi dworu.

Wchodziła teraz do głównego salonu, ubrana ciemno i skromnie, przy boku gospodyni domu, ale i tak sprawiała aż nadto wielkie wrażenie. Nie wystąpił nikt zrazu na jej spotkanie; nawet pan Hieronim, który niezgrabnie, zdaleka zapraszał ją na honorową kanapę, nawet Hylzen, który ważył w sobie wątpliwość, co przyzwolitsze: przystąpić do niej, lub przysiąc się dopiero, gdy ona usiądzie. Nie wszyscy zresztą ją znali; ludzi śmiałych, jak Apolinary i Gotard, nie było w pokoju, a kilkanaście par oczu dziwiło się to jej piękności imponującej, to zagadce, że wyszła „z lasu” i stanęła nagle między nami.

Pani Krystyna trzymała głowę wysoko, jednak widać było po jej ruchach, że osłupienie towarzystwa było jej nieprzyjemne.

Właśnie Kazimierz stanął we drzwiach salonu, objął oczyma i ocenił sytuację.

— Cokolwiek pomyślą, ja stanę przy niej.

Przeszedł żywo przez salon i powitał Krystynę wielkim ukłonem, całując ją w rękę. Rozpromieniła twarz otwarcie:

— Już pan tu jest? to dobrze.

I ruchem jakimś zaufanym całej postaci przechyliła się do niego, nie dotykając jednak jego ramienia, patrząc na salon innymi oczyma, uszczęśliwionemi, mówiąc bez słów, że teraz jej dobrze.

Ta piękna para ludzi, obok stojących, nowe rzuciła światło na wyobraźnię wstrętniejszego towarzystwa. Ale przystąpił zaraz do nich Hylzen, potem inni—i zmieszali się grupy.

Tymczasem wielki gwar od strony głównego podjazdu pociągnął tam ciekawych.

Z łuku wynurzyła się czwórka, w poręcz zaprzężona do powozu, w którym pan Chmara z małżonką zjeżdżał *personaliter* na zaręczyny do Wiszun.

Oczekiwali u podjazdu panowie: Hieronim, Apolinary i Gotard w gronie kilkunastu jeszcze osób.

Pan Eustachy wysiadł, zakrywając obszernym płaszczem nikłą małżonkę, i, choć

osadził się zaraz w pozie pomnikowej, wyglądał niezwykle swojsko i popularnie.

— Dziękuję, kochany...—szepnął pan Hieronim, zbliżając twarz rozrzuconą do łaskawej brody Chmary.

— Poczekajcie!—zawołał Gotard, wznosząc ramiona, jakby dla ucieszenia orkiestry:

„Tryumf dla bramy, dla tryumfu brama—
Jedzie pan Chmara i Chmarzyna sama
Przez brama”! *)

XXVI.

Ponieważ goście w Wiszunach zasadniczo nie przestawali bawić się talerzem i kieliszkiem, więc przejścia co kilka godzin do ogólnego stołu w sali jadalnej były tylko crescendami w nieprzerwanym koncercie. Przy tych zbiorowych okazjach rosła tylko moc uciechy i wylewu uczuć, objawiających się przez szeregi mów i rozmów. Były tam gwary bachiczne i parlamentarne, były ciche i głośne przymierza, były i szczytne momenty. Do takich należała chwila, gdy zapłakał pan Chmara...

Wzniósł był już pan Gotard zdrowie narzeczonych *facetose et cordialiter*; uczył już pan Apolinary Kmitów i ich Chorągwie w podniosłej mowie na cześć rodziców narzeczonego; znów stary Kmita przypominał dzień imienin gospodarza domu i nie omieszkał okadzić należyłą pochwałą starożytnego, rozkrzewionego na Koronę i Litwę domu Budziszów. Szukano, kogo ucścić z kolei.

Assernhof migał okiem do pana Apolinary, wskazując Chmarę, lecz, zanim urodzony mówca zebrał myśli nieodzowne do napełnienia frazesów, uniosła się z krzesła ciężka postać pani Hieronimowej Budziszowej, dając znać, że pragnie przemówić. Zdziwienie ogarnęło tylko mniej znajomych gości; sąsiedzi wiedzieli, że pani Budziszowa przemawia chętnie, nawet w szerszych kołach.

Mówiła niezmordowana niewiasta polityczna:

— Szanowni goście nasi aż zanadto już łaskawi na nas, wynosząc zasługi przodków, do których nie dorośliśmy ani blaskiem, ani pychą. My tu, ziemianie osiedli, mamy nowe zadania, zaledwie rozpoczęte. Zadania te nie my stworzyliśmy, one powstały żywiołowo z ziemi, którą pospołu z braćmi naszymi mniej rolnymi posiadamy. Wielkie hasła odrodzenia ludowego dotarły do naszej Litwy, i wszystko, co tutaj żywotne, puściło pączki na nowe kwiecie. Bądźmy i my odmłodzoną gałęzią, choć ze starego szczepu, zakwitnijmy...

Była to część obrazowa i poetyczna mowy, uprzednio przygotowanej. Elektryczność jednak, istniejąca zawsze między mówcą a słuchaczami, dała sygnał pani Budziszowej, że audytorium nie zakwita z nią pospołu, więc skróciła ustęp i przeszła do wniosków rzeczowych:

— Jako wiano moralne, młodemu poko-

*) Autentyczny napis na łuku tryumfalnym przy wjeździe Adama Chmary na województwo mińskie w r. 1784.

leniu, które nas tu zastąpi, pragnęłabym przekazać te gorące sympatyje dla sprawy odrodzenia Litwy, które ożywiały mnie od czasu mego przybycia tutaj z Białejrusi. Niech sprawiedliwość społeczna natchnie wszystkie działania nas, tu świeższych lub dawniejszych przybyszów. Niech nam pozyska tytuły obywateli i obywaterek tej Litwy, rozbudzonej po długowiekowym uśpieniu—i nie tylko tytuły, ale rzeczywiste kwalifikacje do zespolenia sercem i pracą z pięknym ludem litewskim. Przyszli dzisiaj do naszego grona przedstawiciele świętych dążeń tego ludu. Proszę obecnych podnieść kielichy za pomyślność sprawy litewskiej, za zdrowie panów Miłaknisów.

Zerwali się ze swych miejsc obaj bracia Miłaknisowie i kłaniali się sztywnie, gdyż toast niedostatecznie rozgrzał resztę biesiadników. Mocya pani Budziszowej mogłaby nawet niesmacznie wywołać wrażenie, gdyby go nie naprawił pan Hieronim. Ruszył ze swego miejsca ku zażenowanym „inteligentom” litewskim i rzekł dość głośno, aby go wszyscy usłyszeli pośród ciszy, która zaległa:

— Ot, prosto powiem, panowie: kochajmy się, jak i od wieków kochali. Jeszcze Litwa nie zginęła, póki my żyjemy.

Ucałował obu Miłaknisów, którzy z dawnego przyzwyczajenia pochylił się głęboko przed panem Budziszem, i wywołał ogólną owację.

Z innego zupełnie mózdzierza wypalił pan Apolinary wiwat Eustachemu Chmarze. Nabił, co się tylko zmieściło: skojarzenie stronnictw, współnictwo celów, zespół tradycji z demokratyzacją, domieszał nawet kroplę rozrzedzonej litewskości, połączył to wszystko ognistym prądem i zapalił jednym wybuchem. Co to jednak tradycja parlamentarna! Dziękował Chmara ujęty, dziękowali wszyscy za wstrząśnienie atmosfery radosnym grzmotem.

Gwar wzrastał się, miły politykom, już wystrzelonym, i niepolitycznym sybarytom, gwar życia, rozgrzanego przez dobrą chwilę. Rozpierały się rozkosznie grzbiety starszych; paliły się oczy młodzieży obu płci do siebie nawzajem; puszczały obręcze trosk publicznych i prywatnych; rosło ciągle wesele ogarniające.

Jednak Jan Miłaknis gotował w skupionym milczeniu stosowną odpowiedź na toast, do niego zwrócony. Wstał nareszcie, zgarbił w tył płowe, odporne włosy na głowie, i zaczął mówić głosem rwanym, przesywając zgromadzenie wzrokiem gorączkowym, nie zatrzymującym się na żadnej osobie:

— Panowie raczyli pić za zdrowie nas, chłopów. My, chłopie, pijemy za zdrowie panów, bo wierzymy, że mówicie czystym sercem. My wierzymy zawsze, póki nas nie zdradzą. My nie chcemy straty naszego narodu i nie odbijamy od wspólnej roboty rąk, które przez długie wieki nas prowadziły, jakby to nie było, na pożytek. A żeby tak, jak dzisiaj w Wiszunach, otworzyłyby się serca do siebie i nie znalazłyby w sobie nic prócz życzliwości i chęci krajowego dobra, to my nigdy nie podnieśliśmy głosu przeciw was, panowie Polacy z krwi litewskiej, czy polskiej, tylko jeszcze silniej ujęliby się z wami za ręce. My i kochać umiemy cicho, mocno

i na wieki. To też ja, wierząc, że w towarzystwie, gdzie mnie przyszło się dzisiaj dziękować za równe przyjęcie, Litwa ma tylko przyjaciół i ojców, mogę bez obrazy dla swoich ideałów zawołać: taka Polska niech żyje!

Sękata i niemal cudzoziemska, choć z głębin płynąca wymowa Litwina wywołała zgodny okrzyk aprobacyjny. Miłaknis kłaniał się na wszystkie strony, blade i chmurnie uśmiechnięty, lecz szczęśliwy, jak człowiek, który przeżył ciężką operację.

Wtedy to ła za zabłysła na ciemnym policzku Chmary. Powstał i długo wytrzymał na sobie natężoną uwagę towarzystwa, milcząc, z zamrużowanymi oczyma. I widzieli wszyscy, jak ze szpar oczu drgających spłynęła polska ła, długo strzymywana politycznym skurczem. I głos, zwykle basowy i stanowczy, zmienił się dzisiaj w jakiś tenor liryczny. Krótco przemówił:

— Młody nasz współobywatel poruszył struny jakoby nieme w nas, a przecie najgłębsze. Okrzyk, którego nam wznieść tymczasem nie wolno, dobył się z piersi rodowitego Litwina. Obyśmy dożyli dnia, kiedy zgodnym chórem powtórzyć ten okrzyk będzie pora, bez niebezpieczeństwa buntu, z serc, ukojonych przez zgodę rządów i ludów. W wasze ręce, szanowni i kochani bracia z nad Wisły, posyłam to gorące życzenie.

Sklonił się kielichem Apolinaremu i Kazimierzowi. Pierwszy z nich rzucił się zaraz do dubeltowego uścisku z unarodowionym Chmarą; Rokszycki powstał tylko i odklonił się ze swego miejsca, ceremonialnie.

Kazimierz nie opuszczał prawie Krystyny od czasu jej przybycia do Wiszun i teraz towarzyszył jej przy wieczerzy. W gwarze, wobec rozpierchającej się na ciągłe wypadki retoryczne uwagi towarzystwa, mogli rozmawiać osamotnieni, jakby w łoży, pośród widowiska, w którym jednak brali udział wzrokiem i słuchem. Bawili się cudownie, jak nigdy w życiu. Z wesołych uwag o różnobarwnej seryi osób i mów wykwiwały ich własne spostrzeżenia: jak godzą się doskonale; jak, słuchając razem ludzi rozgadanych, odsłoniętych, lub czających się do swoich celów, torują sobie przez ich zdania i zabiegi kierunek jeden, wspólny; jak są we dwoje mądrzejsi; jak dobrze im przy sobie nawzajem. Nieznacznie i bez umowy zaczęli mówić poufnie i serdecznie, używać jakiejś między sobą liczby mnogiej, albo raczej podwójnej.

— My odmienne będziemy popierali odrodzenie Litwy—mówiła Krystyna po toaście pani Budziszowej.

— Tak, my mamy szerszą ojczyznę—odpowiedział Kazimierz.

Gdyby które z nich zapytało, co znaczy „my”, oboje zarumieniliby się, albo stanęli przed koniecznością zasadniczych tłumaczeń. Ale nie pytał ani on, ani ona. Coś żywiołowego, jak pomnożenie tlenu w atmosferze, jak dur magnetyczny, ogarniało ich splotami, wiążącymi nierozłącznie. Czasu nie mieli na zdanie sobie sprawy, co to jest. Mówili bowiem o rzeczach bardzo ważnych, o pracy narodowej rozumnej, o związku ludzi dobrej woli, o zakładaniu gniazd i ognisk kultury prawdziwej na tej Litwie, zagrożonej przez

nierozwagę młodszych, przez ospałość starszych, przez roboty obce i wrogie.

— Panie Kazimierzu! W całym tym patosie, który tu słyszymy, jeden tylko pan Hieronim Budzisz przemówił mi do serca. Weźmiemy go do naszego związku.

— Lubi go pani? Ja przepadam za tym starym. Naturalnie, że go zapiszemy do naszych.

— A jeszcze kogo?—pytała Krystyna, okrążając wielki stół radosnym spojrzeniem.

— Wszystkich... prawie wszystkich. My tu, mieszkając w okolicy, potrafimy zbudzić, zapalić do naszych celów, zorganizować cały powiat...

Pohamował się nieco i dodał:

— Mówimy trochę, jak dzieci.

— Jako?!—zawołała Krystyna—to nie toast, co mówimy. To jest nasz spis, nasz paragraf tajny! To najmędrze i najlepsze, co w nas jest. Ogłaszać tego nie potrzeba, ale kiedy w nas to jest, dlaczegoż sobie powiedzieć nie mamy?

— Słusznie... tak być musi, najdroższa moja pani.

Gdy powstał rozrzucony Chmara, Kazimierz położył bez namysłu rękę na dłoni Krystyny, aż drgnęła odruchowo, jednak nie spłoszyła się, jakby to dotknięcie poufałe było już uprawnione między nimi.

— Patrz... pani, on płacze—szepnął Kazimierz.

— Widziałam już łzy szersze—odpowiedziała Krystyna.

Gdy po przemówieniu Chmary Rokszycki zachował się wstrzemięźliwie, pani Krystyna zajrzała mu w oczy z nietajoną wdzięcznością:

— Tak, tak, panie, tego jednego my już nie przerobimy. (DCN)

MIECZYSLAW SROKOWSKI:

JAK ŁZA...

2)

Uważałem się za poetę i byłem z tego powodu bardzo dumny. Jednemu tylko z moich przyjaciół, który się nazywał Władzio Pająk, zwierzyłem się z mej miłości, poematów i dumy... Na tę dumę odpowiedział mi krótko, a było to na lekcji języka niemieckiego, coś w tym rodzaju:

— O tak, ty jesteś dumny, *du bist dumm!*

Wyzwałem go naturalnie za to na pojedynki, ale ostatecznie pogodziłem się z następujących powodów, popierwsze dlatego, żeśmy w żaden sposób nie mogli znaleźć drugiego pistoletu, a podrugie wytłumaczył mi nasz wspólny sekundant, że Pająk jest z zamiłowania przyrodnik, ma nawet pójść do szkoły lasowej, więc przecież nie może się znać ani rozumieć na miłości, ani na poezji, „jako taki”!

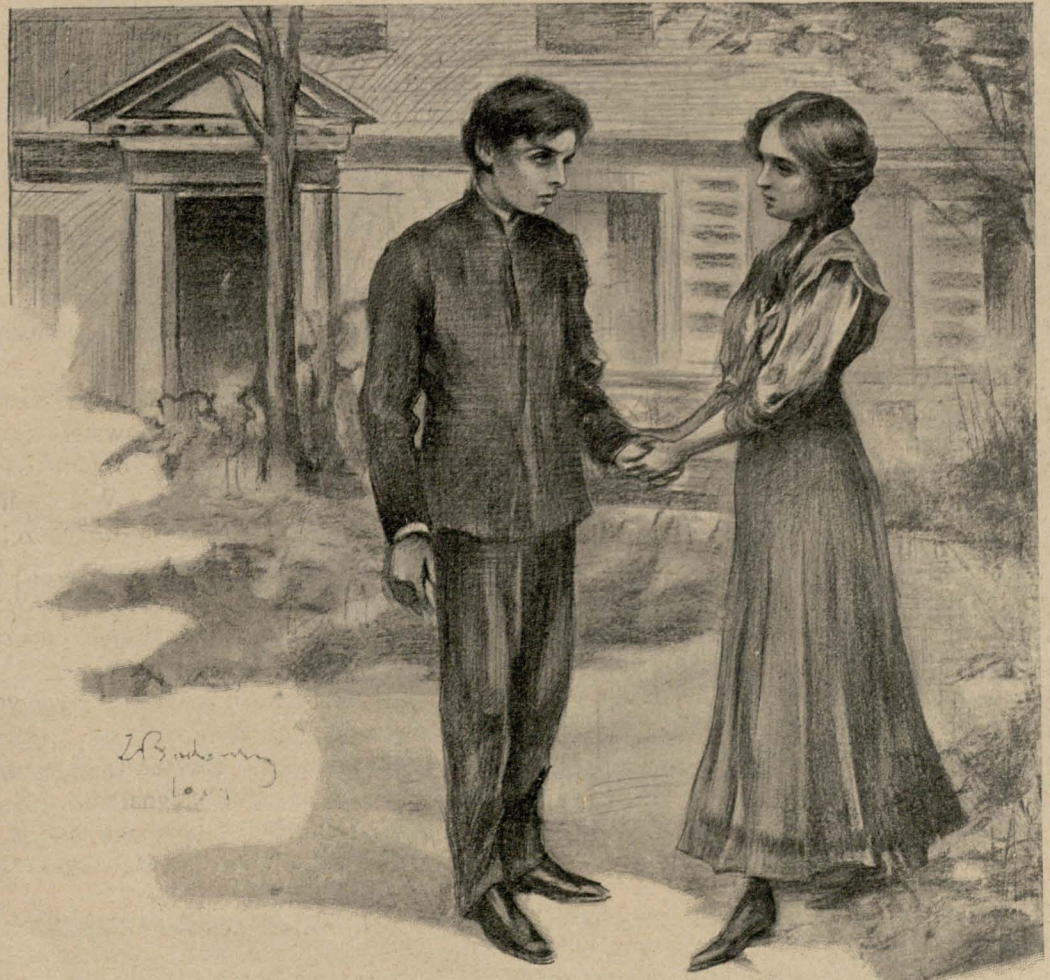
Więc, jako z takim, pogodziłem się.

Oto tak wyglądały moje pierwsze dwa cierpienia, wypływające z miłości: niepowodzenie szkolne z powodu poetycznych natchnień i zajście z Władziem, którego bardzo kochałem!

W tej chwili chodziłem po ogródku, i cudowne przypomnienie zapaliło mi nagle istne słońce w duszy: „Nikt w domu nie wie, że ona stała się panią mego serca i myśli, i za parę dni ujrzę ją tu i wyznam, tak jest, niech się niebo i ziemia zapada, wyznam jej wszystko!” I najlepiej będzie, myślałem, gdy się obydwójce zabijemy! Bo i śmierć za młodu to śmierć godna bogów, a „kochanka Moora tylko z ręki Moora zginąć może”...

Zabiję ją i siebie—niema co! Dosyć tej męki życiowej!

I cieszyłem się ogromnie!



Wzięła mnie za rękę i szepnęła.

Z. BADOWSKI

Tymczasem przypadek zrzucił tak szczęśliwie, że Oleńce przyszło w sam wielki piątek na myśl napisać karteczkę do Maniusi-Beatryczy, żeby się zejść w którymś kościele o naznaczonej godzinie i razem już zwieźć tradycyjne Boże Groby. Mama dała zezwolenie, i służąca z listem zaraz rano podążyła do domu mego ideału.

Ale w południe przy śledziu wielkopiątkowym okropna bomba pękła.

— W którym kościele—zapytałem—mamy się z temi paniami spotkać?

— W katedrze—odparła spokojnie matka—ale ty zostaniesz w domu!

Uczułem nagle, że jakieś gorąco wzbiera mi w piersi, ciśnie się do gardła, i choć to „mężczyźnie” bardzo nie wypada, uczułem, że to gorąco powędrowało do oczu i rozpląnęło się w niepomahowanych łzach...

— Dlaczego? — zdołałem jeszcze wyszeptać.

— Boś leniuch—odpowiedziała mama.

Siostry moje milczały: Marya z niemym uznaniem słusności wyroku w twarzy, Oleńce zbladła twarzyczka, oczęta zasmucone rozszerzyły się bardzo i, spostrzegłszy w moich oczach łzy, bez długiego namysłu rozpląkała się na głos.

— Mamo, ja się poprawię—błagałem urywanym głosem.

— On się poprawi—pochwyciła Oleńka i przybiegła do matki, okrywając pocałunkami jej czoło, twarz i ręce.

— Poprawisz się? — zapytała widocznie wzruszona mama.

A ja dobrze wiedziałem, na którą z moich przysięg rodzicielka moja jest najwrażliwszą, więc zawołałem z zapałem:

— Szlacheckie słowo honoru daję, że że się zupełnie poprawię—i równocześnie pomyślałem sobie, że już wobec tego zabijać się nie mogę...

Oleńka rzuciła mi się na szyję, i na Boże Groby poszedłem.

O naznaczonej godzinie spotkaliśmy się z Beatryczą i jej matką. Matki się poznały, koleżanki przywitały, ja stałem zupełnie ogłupiały i miałem czapkę w rękach, z którymi w innym wypadku absolutnie nie wiedziałbym, co mam zrobić.

Manusia wydała mi się jeszcze piękniejszą. Po wyjściu z kościoła ja szedłem z tyłu z mamami, a panienki we trzy naprzód; byłem nawet zadowolony, że tak się ułożyło, bo zbliżenie się „do niej” onieśmieliło mnie zupełnie!

Po zwiedzeniu kościołów stanęła umowa, która znowu wielką sprawiła mi radość: otóż matka panny Maniusi zgodziła się na to, żeby jej córeczka drugi i trzeci dzień świąt u nas spędziła, a zgodziła się na to tem łatwiej, że Manusia nie miała już wcale do klasztoru wracać.

W oczekiwany ów drugi dzień świąt, około południa zjawiała się Manusia z matką; było śniadanie i święcone jajko, więc, jak zwykle, wszyscy, dzieląc się niem, składali sobie nawzajem życzenia, ostatecznie Manusia, z widelcem w jednej ręce, z talerzykiem w drugiej, a ironicznym uśmiechem na buzi zbliżyła się do mnie.

— A panu—rzekła, patrząc mi ogromnymi swemi oczyma prosto w twarz—panu życzę lepszego powodzenia... w szkole!

Krew uderzyła mi do głowy, nie umiałem słowa wyjąknąć; nastąpiło przykre milczenie. Ostatecznie bąknąłem nieśmiało bardzo:

— Życzę pani szczęścia... i długiego...

Tu zaplątał mi się język, ale Manusia dodała rezolutnie:

— Życia... A po śmierci żywot wieczny, amen.

Wszyscy zaczęli się śmiać, a ja byłem bardzo, bardzo nieszczęśliwy i myślałem sobie, że siostry moje (a właściwie główny żal miałem do Maryi) są bardzo niedobre, że już nawet „jej” gadały o mojej szkole.

Układałem sobie w myśli naszą pierwszą rozmowę sam na sam; postanowiłem skorzystać z pierwszej lepszej sposobności, żeby się zupełnie zrehabilitować. Tymczasem siedziałem, milcząc zawzięcie, i musiałem mieć bardzo smutną minę, bo Beatrycze moja zagadnęła mnie:

— Czy pan zawsze jest taki milczący?

— O nie, nie—odpowiedziała moja matka za mnie.

— A czemu pan dzisiaj tak milczy, jak tabaka w rogu?—zapytała mnie zupełnie łobuzerskim tonem, wkładając koniec widelca z kawałkiem szynki do anielskich ust swoich.

— Nie lubię siedzieć przy stole i ciągle jeść; na Wielkanoc nic się nie robi, tylko je...

— A co pan lubi robić?—znowu ironicznie zapytała panna Manusia.

— Nic—wtrąciła cierpko Marya.

— On?... on lubi wiersze pisać—zawołała Oleńka—o, takie ładne!!

— A, to pan poeta?

Spuściłem skromnie oczy.

— Niech pan dla mnie wiersz napisze! dobrze?

Boże! — pomyślałem sobie — przecież wszystkie kajety i skrypty szkolne zapisałem wierszami dla niej.

— Dobrze—szepnąłem.

Ale widocznie poezja moją Beatryczę interesowała, bo pytała w dalszym ciągu:

— A jakie pan wiersze pisze? Takie jak Mickiewicz?

Mamy zaczęły się śmiać, a z kolei panna Manusia zarumieniła się:

— No tak—zawołała—przecież Mickiewicz był poetą i napisał „Pana Tadeusza”, „Dziady” i „Sonety krymskie”—wyrecytowała jednym tchem.

— Ale nie, nie—przerwała Oleńka—Mus (tak mnie w domu nazywali) napisał wiersze o bitwie pod Grunwaldem i Wandzie, jak się utopiła w Wiśle!

— Ja o bitwach nie lubię... Niech mi pan o Wandzie przeczyta.

Serce mi biło, jak młotem, rosnę w dumie... Rozmowa, dzięki Oleńce, przeszła na mój teren.

— Dobrze — odparłem — przeczytam, ale w ogrodzie!

I pozwolono nam wstać, poszliśmy do ogródka, gdzie czytałem poemat o Wandzie, która w mojej fantazy kochała Rytygiera i dlatego utopiła się.

Manusia, nawet gdy przeczytałem, ostentacyjną strofkę:

Zapłakały druchny młode,
Jęk się w dal rozprasza (!)...
Zbudź się, Lechio! Znasz swą szkodę?
Zgasła gwiazda nasza!

miała łzy w oczach. Od tej chwili zaczęła się miłość. Siostry pobiegły patrzeć, jak urządzono grządki i jakie zasiano kwiatki, a myśmy tymczasem poszli w głąb ogrodu. Po chwili milczenia zagadnąłem:

— Dlaczego pani przy święconem jajku życzyła mi lepszego powodzenia w szkole?

Wzięła mnie za rękę i, patrząc mi ślicznie w oczy, szepnęła:

— Przepraszam...

Szczęście rozparło mi piersi.

Szczęście, jakie można tylko odczuć sercem czystym dziecka i wiarą dziecka.

— Ale... ale dlaczego?—pytałem, żeby coś mówić, bo zdawało mi się, że tracę przytomność.

— A bo siostra pana, Marynka, coś mi tam mówiła...

Oprzytomniałem i zacząłem mówić to, co sobie dawno powtarzałem, niewinniając się sam przed sobą z niepowodzeń ostatnich w szkole:

— Ja, proszę pani, nie umiem się wciśnić w szkołę, mnie w szkole ciasno... Uczą mnie algebry i zrównań, co mnie nic, ale to nic nie obchodzi, uczą mnie statystyki austriackiej i chemii... po co? Ja ani chemikiem, ani matematykiem nigdy przecież nie będę, a z innych przedmiotów umiem wiele więcej, niż to, co mi wykładają! Nienawidzę szkoły!

— Ale szkoła jest potrzebna, żeby zdobyć sobie stanowisko! kto szkoły nie skończy, jest potem niczem, panie...

— O nie... mogę... mogę być przecież literatem!

— E—literat... Literat to nie jest przecież porządne stanowisko, ale i literat musi także pójść na uniwersytet.

Ten ostatni argument pobił mnie: uniwersytet wydawał mi się wówczas dziwnym rajem.

— No tak... ma pani rację... naprzykład na wydziale filozoficznym, literatura i historia...

— A widzi pan! I można być przytem profesorem...

Nagle zmieniła temat i zapytała:

— Czy pan lubi biegać?

— Ja bardzo dobrze biegam, mało kto mnie przegoni.

— To niech mię pan złapie — i, nim się opamiętałem, puściła się pędem, jak sarna, przez alejkę.

Ogród nasz kończył się sztachetami, pod którymi stała ławeczka. Beatrycze moja usiadła, ciężko dysząc ze zmęczenia, z błyszczącymi oczyma i zarumieniona.

— A—a, nie złapał pan dobrodzieju!

— Bo, nim się spostrzegłem, już pani uciekła!

Chwila milczenia, potem zagadnęła:

— A napisze pan poeta jaki wierszyk dla mnie?

Zamknąłem oczy i palnąłem bez namysłu:

— Ja napisałem już do pani półtora kajetu wierszy!...

— Do mnie? Przecież pan mię dzisiaj poznał?

Zaprzeczyłem gorąco. Waliłem, jak dobrze nauczoną lekcję, ale serce biło mi w takt tej lekcyi zupełnie w tempie. Wytłómaczyłem jej więc (o! jakżeż ja sobie wymarzyłem tę rozmowę) że przedewszystkiem widziałem ją w snach dawno, dawno i t. d. Potem, że sny moje sprawdziły się, gdy ją ujrzałem w parlatorium Sacré-Coeur, i zacząłem pisać, pisać... Przyznałem też, że szkoła zawadzała mi bardzo.

Beatrycze zamyśliła się bardzo, wysłuchawszy tego wszystkiego, potem szepnęła:

— Boże, jakie ja sięję nieszczęścia wołało siebie. Zdziś Kowalski repetował, Staś Muszkiet repetował.. a teraz znowu pan... już trzeci!

— O! ja nie będę repetował!

— Nie, pan nie będzie, niech mi pan da słowo...

— Ja już mamie dałem słowo!



KAJETY SZKOLNE, JAKO UDOSKONALONA GAŁĘŻ PRZEMYSŁU KRAJOWEGO.

Przemysł krajowy, w miarę szerzenia się u nas postępu ekonomicznego, ogarnia coraz nowe pola. Artykuł, który do niedawna w przemyśle swoim odgrywał rolę Kopciuszka, dziś, w rękach energicznych przedsiębiorców, zdobywa stanowisko fabrykatu, produkowanego na szeroką skalę, przy użyciu licznego zastępu pracowników, oraz motorów, które poruszają szereg machin ulepszonych.

Nie nadużywajmy jednak cierpliwości czytelnika i treściwie przystąpmy do rzeczy.

W domu przy ul. Długiej nr. 26 w osobnym pawilonie, podzielonym na szereg sal jasnych wysoko sklepionych oraz należycie wentylowanych, wre ruch i życie.

Znajdujemy się w hurtowym składzie papieru, oraz zakładach wyrobów papierowych firmy Owsej Rom.

Jest to jedna z najruchliwszych firm w tym kierunku. Od lat 15 utrzymuje składy hurtowe papieru w Warszawie, zaś od lat 7 w Kijowie i Char-kowie.

— Jaka jest najwybitniejsza specjalność firmy pańskiej?—zapytuje właściciela zakładów.

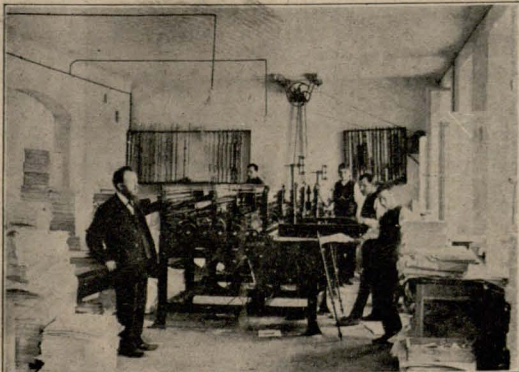
— Prowadzę hurtową sprzedaż papierów drukowych i piśmiennych. Chcąc objąć cały przemysł papierowy i z uwagi, iż kajety stanowią jeden z najważniejszych artykułów w tej branży, od dnia 1 stycznia r. b. założyłem specjalną fabrykę kajetów, ksiąg handlowych, notesów, bloków i t. p. Pozwolę sobie moją fabrykę nazwać *krajową* z tego po-



Front fabryki O. Roma, przy ul. Długiej 26, Telefon 16-26.



Magazyn wyrobów gotowych.



Maszyna do liniowania.

wodu, iż zarówno w moim składzie, jak i w fabryce kajetów nie znajdzie pan innego towaru, prócz wyrabianego w kraju. Tak jest, z zakresu naszej działalności wykluczyliśmy papier przywozowy.

— Czy kajety produkuje pan w znacznej ilości?

— Nie będę tań — mówi p. Rom — że staram się ować rynekami w najobszerniejszym tych słów znaczeniu. Bo niech pan zauważy. Oświata w kraju budzi się coraz silniej a z nią wzrasta i popyt na materiały szkolne. Moją zasadą jest dostarczenie młodzieży kajetów i brulionów z najlepszego papieru krajowego, w gatunkach najlepszych. Zarazem, jako fabrykant, staram się usilnie, ażeby ogół handlujących, rozpowszechniając nasze wyroby, tem samem nie obdzielał młodzieży szkolnej kajetami, wyrobionymi z papieru niewygładzonego, a więc nieodpowiedniego do pisma poprawnego pod względem kaligraficznym. Fabryka moja uwzględni przede wszystkim kieszenie rodziców. Wyrabiamy

więc zeszyty, począwszy od 1½ kopiejki za sztukę.

— Za tak niską cenę jesteś pan w stanie produkować kajety już w okładkach?

— Tak jest; otrzymując papier z pierwszych źródeł, mogę dostarczać towar najtańszy, a zarazem najlepszy. Oto tajemnica moich obliczeń handlowych.

— A premia, pod postacią pieczętek, kalkomanii i t. p., których szafowaniem drobni handlujący starają się przyciągać nietętną klientelę?

— Jestem nieprzyjacielem podobnej taktyki — oznajmia pan Rom — oraz bałamucenia dziatwy premiami w ogóle. W moich kajetach nabywca nie znajdzie nic, oprócz bibuły. Jest to dodatek najpraktyczniejszy i jedynie pedagogiczny. Za to uczeń otrzymuje kajet z papieru satynowanego i nie przebijającego.

Z kantoru przeszliśmy do oddziałów fabrycznych. W salach wielkich, urządzonych z uwzględnieniem higieny pracowników, mieszczą się: składy hurtowe, introligatornia, maszyny do liniowania i inne oddziały.

W fabryce panuje wielki ruch. Na twarzach pracowników rozkwita uśmiech spokoju o jutro.

— Wszyscy moi pracownicy są zaasekurowani na koszt fabryki — słyszę objaśnienie.

Jest to również tajemnicą energii, z jaką



Introligatornia.

fabryka p. Owseja Roma (marka „orzeł”), wkracza w rozpoczynający się sezon tego-roczny zakupów przedszkolnych.



N A D E S Ł A N E.

SKŁAD FABRYCZNY **BRACI THONET** Warszawa, TELEFON 20-29
MEBLI GIĘTYCH Marszałkowska 141

KOMPLETNE URZĄDZENIA APARTAMENTÓW, WILLI,
TEATRÓW, zakładów gastronomicznych, klubów, etc.
Wielki wybór GOTOWYCH SALONÓW, JADALNI,
SYPIALNI i t. p. na składzie.

KSIEGARNIA
GEBETHNERA i WOLFFA
w Warszawie

poleca

MONSALWAT

Rzecz o Adamie Mickiewiczu
— Artura Górskiego —

Wydanie drugie rb. 1.50.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

ZUZANNA RABSKA

Zanim światła pogasną Rb. 1.60

Do nabycia we wszystkich księgarniach. Skład
główny w Księgarni GEBETHNERA i WOLFFA
w Warszawie.

KSIEGARNIA

GEBETHNERA i WOLFFA
w Warszawie

poleca:

WYBÓR POEZJI

ARTURA OPPMANA (OR-OTA)

wydanie nowe, zmienione i po-
większone, z portretem autora.

Cena rb. 1.50, w ozdob. opr. rb. 2.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

C. Skoryna

Warszawa-Praga

OLSZOWA 14, Tel. 49.

Fabryka ma-
szyn i kamie-
ni młyńskich
budowa mły-
nów, Turbi-
ny, Transmi-
sye i t. p.

Z LABORATORYUM L. LALEUF
w ORLEANIE (FRANCJA).

Jodyrina Dr. Deschamp

(Iodhyrine du Dr. Deschamp)
Ogólnie uznany środek przeciw

Otyłości

zalecany przez lekarzy z doskonałym
skutkiem.

Jodyrina Dr. Deschamp

USUWA OTYŁOŚĆ stopniowo w bardzo
krótkim czasie. Niema ubocznego szkodli-
wego działania.

Cena pudełka (60 pastyl.) Rb. 4.25 k.

Sprzedaż w aptekach i składach aptecznych.

KALODONT

Niezbędny krem do zębów
Utrzymuje zęby białe, czyste i zdrowo.

Żądać wszędzie



W. CYBULSKI i S-ka

Telefon 60-29

Warszawa, Trębacka Nr 9, dawniej Nowo-Senatorska 7.
Wyroby Siodlarsko-Rymarskie i Sportowe.

Poleca własnego wyrobu **Kakao** w proszku,
G. G. LARDELLI Czekoladę **Mleczną-Unique, Czeko-
ladki Deserowe**, oraz Wyroby
Boduena 5. Nowy-Swiat 27. Cukiernicze.

Najlepsza Pasta do Obuwia **„INTRYGANT”** żądać
H. Trembińskiego wszędzie



L. MARCHOWIECKI Krak.-Przedmieście 23
(vis à vis pom. Mickiewicza)

Poleca: Skórzaną galanterię, przybory podróżne, ozdobne albumy,
obuwie letnie, pudła fornerowe, etc. Wyrób własny, ceny niskie.

KARPIŃSKIEGO
KREM OGÓRKOWY MATOWY
Cena 60 kop.
Laboratorium Chemiczno-Farmaceutyczne
Fr. Karpińskiego
w Warszawie Elekoralna 35. Telefon 600
Żądać wszędzie.

Ostrzeżenie.

Mamy zaszczyt przypomnieć Sz. Pu-
bliczności najczęściej rozpowszechnioną
zaprawę „HYGIENA“ do podłóg i zara-
zem proszę o łaskawe zwracanie uwagi na to, że w każdej puszcze, wewnątrz, zaprawa pokryta
jest pergaminową powłoką z naszym znakiem fabrycznym, zatwier-
dzonym przez Ministerium. Tyłko taka zaprawa jest naszego wyro-
bu. Nieuczciwych fałszerzy pociągamy do odpowiedzialności sądowej.

Centralne Laboratorium Chem. w Warszawie.

Od Administracji.

Agentury nasze: G. Gebethner i Spółka w Krakowie
i S. Sokołowski we Lwowie posiadają na składzie resztę pre-
mium „Tygodnika Ilustrowanego” z 1908 r., album

**„Duch-Rewolucjonista” Antoniego
Kamieńskiego**

Cena albumu broszurowanego Kor. 5.— (rb. 2)

" " w ozdobnej oprawie " 10.— (rb. 4)

Za przesyłkę pocztową albumu dopłaca się " 1.— (kop. 60).

Bracia ŁOPIEŃSCY POLECAJĄ **BRONZY** SALONOWE I KOŚCIELNE MAGAZYN **KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE** Nr 15 Tel. 21.90

Redaktor: Dr JÓZEF WOLFF

Wydawcy: GEBETHNER I WOLFF

Redaktor przyjmuje we czwartki i piątki, od godz. 1 do 2.—Rękopisów pomniejszych i materiałów rysunkowych, nadesłanych do redakcji, nie zwraca się.

Druk Piotra Laskauera i S-ki, Warszawa.

LUDWIK SZUFA
KRAWIEC
KRAKOW TELEFON 671

GEBETHNER
i WOLFF
PIANINA I FORTEPIANY
W WARSZAWIE
KRAK.-PRZEDM. 17



MAGAZYN KRAWIECKI
SZWAŁBE SACHSMA
ANGIELSKIE PALTA i GARNITURY
GOTOWE I NA OBSTALUNEK
SENATORSKA 8. TELEFON 67.17.

Księgarnie Gebethnera i Wolffa

W WARSZAWIE,

Krak.-Przed. 15 Nowosienna 9

pośredniczą

w prenumeracie pism

krajowych i zagranicznych

po cenach redakcyjnych.

Wydawnictwo Gebethnera i Wolffa
w Warszawie:

Modest Maryański

Przewodnik polsko-angiel.

Słownik polsko-angielski

dla wychodźców polskich i przybyszów
do Stanów Zjednoczonych Ameryki
Północnej i Kanady, ułatwić mający
stawianie kroków pierwszych w kraju
obcym i naukę języka angielskiego
z podaniem wymowy i brzmienia każ-
dego wyrazu angielskiego według me-
tody fonetycznej, z dołączeniem nie-
których uwag, rad i wskazówek. Wy-
danie 2. W oprawie rb. 1.20.
Do nabycia we wszystkich księgarniach.

ANTONI MITKIEWICZ Leś.-D-ła
ZAKŁAD LECZNICZY

chorób zębów i jamy ustnej,
przenióst na KRAKOWSKIE-PRZEDM. Nr 7.

SALON „ARS”

Kraków, ulica Św. Jana 1 (I piętro).

Nieustająca wystawa dzieł sztuki i sprze-
daż obrazów najznakomitszych artystów
polskich. Salon otwarty codziennie od 10
do 1 i od 2 do 5.